



ROK LVIII

MISŁY GODNIOWE I LUSTROWANIE DLA KOBIEK

NR 17

WARSZAWA, 25 KWIETNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Teorja a praktyka—*K. S.* Z rozmyślań o harcerstwie—*W. Prażmowska.* Małeńkie sprostowanie—*Z. Zawiszanka.* Pani Wenus (kartki z podróży)—*K. Bielańska.* Wiersze—*Jullusz Wirski.* Pionje (wspomnienie)—*N. Samotyhowa.* Głosy współczesnych o Deotymie—*Z. Szmydtowa.* Braterstwo ludów (c. d.)—*Marja Jehanne-Wielopolska.* Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska.* Meksykanka (z moich szpargałów)—*Gamaston.* Bohaterski stolarz—artysta—*Marjan Dubiecki.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i sport—*I. Fabrycowa.* Nasze ogródki—*B.* Strzałki—*al. Z Książek—1) Z. Szmydtowa, 2) C. W* Z muzyki—*Ryta Gaus.* Koszyczki—*Z. M.* Fartuchy—*W.* Rozmowa—*J. S.* Z dziedziny kosmetyki—*Dr. med. J. Świtalska.* Co jest niezbędnem—*Pani Elżbieta.* Praktyczny pomysł. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy.”—*Bearux Harraden.* Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

TEORJA A PRAKTYKA

Przeciwstawienie tych dwóch wyrazów nabrało już pewnego znaczenia ogólniejszego: zwrotu, któremu wedle potrzeby nadajemy zabarwienia ironji, ubolewania, zawodu, oburzenia i t. p.

Wśród licznych odmian znaczenia tego skrótu dadzą się atoli wyszczególnić dwa zasadniczo różne wypadki, na które zaraz u wstępu chcę zwrócić uwagę.

Rozbieżność między teorją, a praktyką oznacza, albo brak szarmonizowania między teoretyczną umiejętnością, a praktycznym jej zastosowaniem, albo też niezgodność między zasadami głoszonymi, a postępowaniem danego człowieka. W pierwszym wypadku mamy więc do czynienia ze zjawiskiem natury—że tak powiem—intelektualnej, w drugim zaś z typowo moralnym. Ale jest jeszcze wypadek trzeci, do pewnego stopnia graniczny między temi, w którym przyczyna rozbieżności między zamierzonymi planami, a ich wykonaniem tkwi głęboko w brakach i niedomaganiach życia społecznego.

Nie wdaję się narazie w bliższe badania przyczyn tych zjawisk. Trzeba atoli stwierdzić, że w skutkach swoich wykazują one duże podobieństwo: wieczny rozbrat między tem, co osiągnąć pragniemy, a tem, co naprawdę osiągamy.

Wiemy dobrze z własnego doświadczenia, że samo zrozumienie teorji jakiejś umiejętności jest zupełnie niewystarczające, aby tę umiejętność naprawdę posiąść—co więcej—aby móc się nią posługiwać i z korzyścią stosować w życiu.

Takie poznanie czysto „filozoficzne” rozszerza nasz umysł, ale nie kształci wszechstronnie, nie przygotowuje do produktywnej pracy. Znajomość teorji matematyki, muzyki, inżynierji, pedagogiki nie czyni z nas jeszcze biegłych matematyków, muzyków, inżynierów, nauczycieli. Potrzebna tu jeszcze praktyka zdobycia wprawy.

Nasza skłonność do przeceniania teorji w stosunku do praktyki wpływa nietylko z pewnych właściwości narodu, ale w dużej mierze przyczynił się do tego niezawodnie i dotychczasowy system szkolny. Pogoń za erudycją, encyklopedyczność wykształcenia, a przedewszystkiem werbalizm nauki musiały wydać ludzi, którzy wysoko cenią piękne słowa, mniejszą wagę przywiązują do pracy.

Jeśli rozdźwięk między teorją, a praktyką jest czynnikiem, który w walce o byt osłabia siły poszczególnych jednostek, to przeniesiony w dziedzinę życia społecznego, staje się klęską całego narodu. Znamy te miliony pięknych planów, projektów, pro-

gramów, te wszystkie dobre chęci i płomienne zapęły, które pozostają w sferze marzeń, najwyżej dyskusji, bo brak ludzi, którzyby chcieli lub umieli systematycznie i wytrwale je urzeczywistnić.

Typowym przykładem jest życie naszych stowarzyszeń: pogadanki, odczyty, nieskończone dyskusje—a pracy konkretnej minimalnie. Albo weźmy dziedzinę pracy szkolnej. Mówi się dużo o potrzebie reformy, wprowadza się nowe metody i nowe programy. Żąda się od nauczycieli, aby nie tylko rozwijali umysł młodzieży, ale także jej charakter i zdolność życiową, aby całkowicie oddali się pracy wychowawczej. Ale czy ktoś troszczy się o konkretne warunki, konieczne do przeprowadzenia tych żądań? Czy dana jest rzeczywiście nauczycielowi możliwość wywiązania się z tych obowiązków? Upajamy się szumnymi programami—niewiele troszcząc się o celowość i możliwość ich przeprowadzenia.

A tysiące innych reform społecznych, które zostają ciągle w sferze „pobożnych pragnień“ tylko?! Przyznajemy, że wiele rzeczy powinno się zmienić, umiemy nawet pięknie dowodzić, dlaczego i jak być powinno, a jednak...

W ostatnich czasach słyszy się bardzo wiele pięknych słów na temat braku pracowitości u nas. Ale te same osoby, które tak wymownie umieją stawiać nam jako wzór pracowitości Francuzów, Niemców, Czechów i t. d., w praktyce bynajmniej do tych wzorów się nie stosują.

Nasuwa mi się w tem miejscu pewna ciekawa refleksja. Czem wytłumaczyć naprzykład fakt, że koszta pobytu w najbardziej prymitywnie urządzonej uzdrowisku naszym tak jaskrawo przewyższają odpowiednie koszta w luksusowych miejscowościach zagranicznych? Odpowiedź łatwa. Zagraniczni właściciele czy właścicielki pensjonatów nie wstydzą się pracy i lwia część jej sami wraz z rodziną wykonują. Czerpiąc dochody z przedsiębiorstwa, uważają za swój obowiązek wzamian za to dać pracę. A u nas? Zaraz tysiące służby i niepotrzebnych wydatków! Każda taka pani, chce od razu być wielką damą i nic nie robiąc, wymaga jednak tak wielkich dochodów, aby starczyły nie tylko na wykwintne utrzymanie licznej nieraz rodziny, ale na zdobycie majątku. Nie przeszkadza jej to w niczem wygłaszać zdania, że każdy powinien pracować, że praca nie hańbi i t. p. — co więcej — jest święcie przekonana, że sama ciężko pracuje.

Wogóle rozbieżność między teorią a praktyką nigdzie nie jest tak uderzająca, jak w pracy zawodowej i społecznej. Od szeregu lat mówi się u nas ciągle i pisze o potrzebie intensywnej pracy, że to jest koniecznym warunkiem odbudowy życia prywatnego i publicznego, wolności i bezpieczeństwa

narodu. Ale nawet ci, którzy to mówią i piszą nie uważają, aby ich samych to obowiązywało w życiu codziennym. Głoszone ideały dziwnie jakoś współistnieją i godzą się pogodzić z niedbalstwem w pracy, z brakiem wytrwałości, punktualności i poczucia obowiązku.

A powszechność tych stosunków wytwarza atmosferę wzajemnego pobłażania, w której nikt nikomu się nie dziwi, każdy łatwo znajduje rozgrzeszenie, wszystko zaś razem fatalnie wpływa na wychowanie młodego pokolenia. W ten sposób bowiem powstaje błędne koło, gdyż przykład starszych działa na młodych: trudno wpoić młodzieży umiłowanie pracy i obowiązku, skoro sami go nie posiadamy.

Przechodzę wreszcie do trzeciego wypadku, w którym kontrast między teorią a praktyką może najjaskrawiej występować. Niezgodność między naszymi ideałami moralnymi, a naszym postępowaniem, jest zjawiskiem tak powszechnym, że zdajemy się go już wcale nie spostrzegać. Głoszone zasady miłości bliźniego, prawdomówności, a choćby najzwyczajniejszej uczciwości nikogo do niczego nie obowiązują. Istnieje jakgdyby milcząca umowa wzajemnej nieufności, która reguluje stosunki ludzkie. A kto by przypadkiem z pod niej się wyłamał, uchodzi za dziwaka, lub naiwnego niedołęgę. Fałsz i obłuda, kłamstwo i faryzeuszostwo stały się najwyższym wyrazem mądrości życiowej. Ze smętnym pobłażaniem godzimy się z tem, że zasady etyki są tylko pięknymi mrzonkami, które w życiu praktycznym nie mogą być stosowane, a ludzie „doświadczeni“ ostrzegają nas z „mądrą miną“ przed lekkomyślnością brania ich na serjo.

O ideałach religijnych, patriotycznych, humanitarnych czytamy tylko w książkach, ale po tej miłej lekturze wracamy do rzeczywistości i kierujemy się tam tylko „rozumem“.

Jest jedną z najciekawszych zagadek bytu ludzkiego, że rozum pod tym względem na tak dżwne zeszedł manowce. Dlaczego większości ludzi wydaje się, że kłamstwo i nieszczerłość są koniecznym warunkiem współżycia społecznego i że bezwzględne przestrzeganie zasad etyki w praktyce jest zupełnie niemożliwe.

Czy nie jest to przypadkiem branie skutku za przyczynę? Czy fakt istnienia poczucia moralnego nie jest zarazem dowodem, że jest to najistotniejsza, choć dotychczas zapoznana, potrzeba naszego życia, instynktownie, a więc najbardziej praktycznie i realnie pojętego.

K. S.



Z ROZWAŻAŃ O HARCERSTWIE

II JAKIEMI DROGAMI HARCERSTO KSZTAŁCI CHARAKTER MŁODZIEŻY.

A. Świadoma praca młodzieży.

Bardzo wielu ludzi rozróżnia w harcerstwie pracę nad charakterem i ćwiczenia jako dwie rzeczy odrębne, może nawet przeciwstawiające się. Jest to pogląd najzupełniej błędny, gdyż ćwiczenia harcerskie są w większości wypadków środkiem do urabiania charakteru, z czego zresztą młodzież nie zdaje sobie sprawy, traktując często te środki wychowawcze jako cel. Ten moment świadomości młodzieży przyjęłam jako podstawę podziału środków, urabiających jej charakter.

Do grupy środków, które opierają się na czynnej współpracy młodzieży, będą należały, prawo i przyrzeczenie, poznawanie życiorysu patrona drużyny, gawędy ideowe, ćwiczenia w li i dzienniczki osobiste. Do drogiej grupy metod, które kształtują charakter młodzieży bez jej świadomości, możemy zaliczyć ćwiczenia techniczne, wycieczki, gry, zabawy i t. p.

Zajmijmy się pierwszą grupą. W rozdziale poprzednim omówiłam już znaczenie prawa i przyrzeczenia harcerskiego.

Dziś chciałabym zwrócić uwagę na jedno. Zdawałoby się mogło, że prawo będzie miało znaczenie dla młodzieży tylko w momencie wstępowania do drużyny i ewentualnie przez krótki najlżejszy okres. Tymczasem można twierdzić, że prawo posiada swą wartość o wiele dłuższą, gdyż po pierwsze zrealizowanie go nie daje się osiągnąć w ciągu krótkiego czasu, a powtóre w miarę wzrastania horyzontów młodzieży zmienia się rozumienie prawa, które rozciąga się na coraz to szerszy zakres życia. To sprawia, że prawo jest cenniejszym, wiecznie aktualnym dla każdego wieku.

Wiemy dobrze, że praca nad charakterem wymaga dużej systematyczności i rozplanowania pracy. Nie można odrazu pracować nad wszystkimi stronami swego charakteru jednakowo owocnie. Od dziewcząt młodszych, wstępujących do drużyny, będziemy wymagali przede wszystkim prawdomówności, uprzejmości dla otoczenia, obowiązkowości, karności, posłuszeństwa, sprężystości i odwagi. Są to cechy charakteru, które albo naj-

łatwiej wyrobić w tym wieku, albo też te, które należy osiągnąć teraz, gdyż później byłoby to przeważnie niemożliwe (np. prawdomówność). Od dziewczynek w wieku lat 14-tu — 15 tu będziemy wymagali ponadto rzeczy innych, jak pogody i wytrwałości, życzliwości i braterskiego stosunku do innych, oraz postępowania według zasad honoru i godności osobistej. Jest to bowiem ten wiek przełomowy, w którym dziewczynka, zagłębiając się w samoanalizę, staje się skromną do pesymizmu, do egocentrycznego ujmowania życia i przedstawienie przed nią ideałów miłości bliźniego i pogody ducha może ją wyćwiczyć z tego niebezpiecznego kręgu przeżyć. Budzący się zaś w tym czasie erotyzm może być nieszkodliwiony przez poczucie godności osobistej, która będzie słała na straży czystości myśli i uczuć.

Dziewczęta starsze, w wieku 16—17 lat będą pracowały nad poznaniem oraz sumiennym i ofiarnym pełnieniem swoich obowiązków względem Ojczyzny, co oczywiście pojęte szeroko obejmuje duży zakres pracy nad charakterem. Dopiero zaś od dziewcząt starszych ponad lat 18-cie będziemy wymagały stworzenia sobie syntezy prawa harcerskiego i uczynienia ze swego życia ofiarnej służby ideałowi najwyższemu.

Cała ta praca ideowa oparta jest przede wszystkim na gawędach, które w życiu drużyny mają duże znaczenie. Metoda gawędy jest różna, zależnie od okoliczności.

Bywają to przyjacielskie pogawędki zastępu (6 — 8 dziewcząt),

*) Zaznaczyć należy, że zwyczaj ten istnieje tylko w Polsce i referat wygłoszony na ten temat przez dh. Strumillę na zjeździe międzynarodowym w Kopenhadze wzbudził wielkie zainteresowanie.

bywają dyskusje na forum całej drużyny (koło trzydziestu dziewcząt), czasami przybierają formę jakby wykładów drużynowej, innym razem opracowywane są przez same dziewczęta. Jak wiele jednak daje ta wspólna praca ideowa, wie każdy, kto wychowywał się w jakiegokolwiek ideowej organizacji. Materiału do gawęd dostarcza nie tylko prawo, ale prócz tego przeczytane książki, zdarzenia z życia otaczającego, oraz życiorys patrona drużyny.

Każda drużyna obiera sobie patronkę lub patrona z pośród zasłużonych Polaków*). Patron ten, to konkretny ideał, który często lepiej przemówi do serca młodzieży niż abstrakcyjne hasła.

Studjowanie jego życiorysu, rozważanie cech, które naśladować należy, będzie podstawą wielu gawęd i ćwiczeń woli.

Ćwiczenia woli prowadzone są różnymi metodami. Najczęściej są to ćwiczenia tygodniowe, obierane wspólnie przez zastęp. Jako przykłady takich ćwiczeń w młodszych zastępach podać można następujące: nie rozmawiać pod czas lekcji, czytanie i bawienie się dopiero po odrobieniu lekcji, wstanie zaraz po przebudzeniu i t. p.

Często, zwłaszcza w starszych zastępach, ćwiczenia woli są indywidualne i mają różne terminy. Często też praktykuje się jakieś postanowienia zbiorowe na dłuższy okres czasu, lub obiera się hasło na dany okres pracy.

W zastępach młodszych dziewczęta prowadzą często t. zw. dzienniki osobiste. Polegają one na notowaniu codziennego rachunku sumienia.

Nie chodzi tu zresztą o jakieś notatki w formie pamiętnika, a przeciwnie o schematyczne wprost ujęcie treści. Dziewczynka za pomocą odpowiedniego znaku notuje w rubrykach swego dziennika, czy spełniła tego dnia dobry uczynek, czy nie mągała się z prawdą, czy się nie spóźniła, czy wypełniła ćwiczenie woli i t. d.

Dzienniczki te przeważnie nie podlegają kontroli zastępowej, która przestrzega jedynie tego, aby były prowadzone.

Tak zatem w ogólnych zarysach wyglądają metody, jakimi młodzieży harcerska pod kierunkiem zastępowych i drużynowych pracuje nad kształtowaniem swego charakteru.

W. Prażmowska



MALEŃKIE SPROSTOWANIE

W związku z dyskusją na temat pracy zawodowej kobiet zamężnych został poruszony cały szereg spraw z życia rodzinnego. Artykuł ten jest odpowiedzią na art. p. Jacuńskiej p. t. „Zapomniany szczególnie ważnego zagadnienia.”

(Przyp. Red.)

Od kilku już tygodni mocuję się ze sobą, czy odpowiedzieć na artykuł p. Jacuńskiej p. t. „Zapomniany szczególnie ważnego zagadnienia”, i... jednak nie mogę się powstrzymać!...

Jest to jeden z tych głosów w publicystyce, które ujmują dużą szczerością i świeżością — bije z nich życie samo, żywa dusza ludzka. Ale może dlatego właśnie noszą one na sobie zbyt silne piętno indywidualności autora, co szkodzi wszelkim uogólnieniom, z nich wysnutym.

P. Jacuńska stawia ogólną tezę, że mąż — a nie dzieci — jest głównym ośrodkiem życia kobiety. Zdaje się zapominać, że to zależy przede wszystkim od natury danej kobiety, a dawno już spostrzeżono wśród nich dwa typy bardzo różne: „matki” i „kochanki”.

Dla typu „matki”, najukochańszy nawet i najbardziej kochający mąż nie zastąpi dziecka, ani nie potrafi mu dorównać w życiowym znaczeniu. Podobno w Polsce typ „matki” przeważa. Bezwątpienia jednak znajdzie się i u nas dużo „kochanek”, dla których dziecko jest tylko miłym i drogim dodatkiem do męża.

Nie chcę bynajmniej typu tego deprecjonować — uważam, że ma on swoją wartość i prawo bytu. Z artykułu p. Jacuńskiej przemówił on w sposób bardzo sympatyczny.

Artykuł ten nasuwa gwałtem myśl: jakże to trzeba być szczęśliwą, aby tak właśnie pisać!... I tu tkwi właśnie druga indywidualna jednostronność tego ujęcia kwestji, którą chcę nietyle autorce zarzucić, ile sprostować z ogólniejszego punktu widzenia.

Żeby uważać — tak naprawdę, w głębi duszy — męża za główny cel osobistego życia, na to trzeba być nietylko typem „kochanki” ale jeszcze być z tym mężem naprawdę idealnie dobraną.

A zastanówmy się tylko: czy taki dobór jest zjawiskiem częstym? Trudno na ten temat przeprowadzić statystykę — ale każda z nas orientuje się mniej więcej wedle tego, co widziała w życiu naokoło siebie. Ja na podstawie takiej obserwacji twierdzę, że małżeństw szczęśliwych *à la longue* i naprawdę kochających się widziałam może 2 pro mille, fatalnych, kto wie, czy nie do 30%, a reszta — to takie, ot, sobie stadła przeciętne, które możnaby scharakteryzować żałośliwie słowami Boy'a:

„Kiedy raz ksiądz was złączył w pańskim przybytku, Musisz już aż do śmierci trwać w swem korzytku...”

Ot, przyzwyczajenie, wspólne interesy życiowe, mniej lub więcej przywiązania, szacunku, resztek namiętności, lub zmysłowego nawyku... Być może, że ktoś będzie się ze mną kłócił o tę moją przybliżoną statystykę, że jemu wypadnie w odnośnych rubrykach właśnie 7% — 15% — 75% — ale cóż z tego? Faktem pozostanie, że zupełnie złych małżeństw jest wiele, że poziom

przeciętności stoi dość nisko, a taki dobór dwojga jednostek, aby one wzajem dla siebie stanowiły wiecznie nową ponętę, niezachwiane oparcie i źródło twórczości duchowej — taki dobór należy do rzadkich wyjątków!

Niemniej.., każda młoda dziewczyna ludzi się, że to ona właśnie klejnot taki bezcenny znajdzie w życiu — każda matka pragnie go dla swojej córki... Marzycielstwo jest siłą nieprzewycięzoną i — kto wie? — może ono właśnie wpływa czasem na losy?

Jeżeli jednak pismo, czytane przez tysiące kobiet, chce ująć poważnie jakiegokolwiek zagadnienie, tyżące się małżeństwa, to nie może brać za punkt wyjścia tezy p. Jacuńskiej, która opiera się na domniemaniu, jakoby większość kobiet znajdowała w mężu to, co jest w istocie udziałem tylko najszczęśliwszych wybranek. Niestety — rzeczywistość stoi od tej tezy daleko, bardzo daleko!

Bo jakże tu przypisać tak ogromną rolę w życiu duchowym mężowi, jeżeli on nas nie podnosi, ale obniża, jeżeli nas razi gruboskórnością, czy nie dołęstwem, jeżeli przed jego wpływami musimy się bronić, jeżeli on nie docenia tego, co jest w nas najlepsze, jeżeli nas lekceważy, czy zdradza, jeżeli... i t. p. i t. p. — jeżeli, jednym słowem, nie nadaje się on absolutnie ani na kochanka, ani na przyjaciela?! Jesteśmy mu wierne, z wielu najrozmaitszych przyczyn — często nawet zależy nam na nim, mimo wszystko — ale musimy sobie szukać jakiegoś zadośćuczynienia w innych dziedzinach życia.

I wtedy ręce kobiety — choćby nawet nie urodzonej „matki” — zaciskają się kurczowo, namiętnie dokoła drobnego ciała dziecka. Bo przecie to jest to najbliższe, najmiłsze — to, co jeszcze możemy do pewnego stopnia kształtować. Nieśmiertelne marzenie, choć zawiedzione tyle już razy, czepia się



każdego szlachetnego odruchu młodej duszyczki śmiałem spodziewaniem, że przecie tu znajdziemy piękno i miłość wzajemną.

Może być, że nieraz nawet popełniamy błędy pedagogiczne wsku-

tek tego nadmiernego ześrodkowania uczuć na dziecku... Ale cóż robić? uczucie ma swoje prawa: odwraca się od pustki, dąży żywiołowo do tworzenia nowych wartości...

I dlatego to właśnie „zapomniany” został w naszej dyskusji ten biedny „szczegół” któryby mógł stać się dla nas całym niemal światem — gdyby tylko chciał i... potrafił.

Z. Zawisza

PANI WENUS

(Kartki z podróży)

I.

Podczas gdy inne bogi tłoczą się w salach, jak biedne ptaki z różnorodnych krajów, w ciasnej zamkniętej ptaszarni, spłoszone natrętnem i poufałym spojrzeniem przychodniów, ona, królująca zawsze i wszędzie, ma godny siebie apartament, śliczną wnękę, wybitą czerwonym jedwabiem, rzucającym ciepły refleks na białosc jej boskiego ciała i dzieli ją od profanów barjera, po za którą gromadzi się co chwila garść turystów, ni to gro- no pobożnych pątników czekających w naprężeniu na odsłonięcie się cudownego obrazu. Baedebery, czerwono oprawne, wyglądają jak książki do nabożeństwa a kwiaty w rękach młodych Angielek, zdaje się, że tuż, tuż upadną do nóg białego nieruchomego posągu... Nieruchomego? Jakże! w tej chwili drgnął, poruszył się, przysiągłbyś, że się uśmiecha.

Zwolna, ledwie dostrzegalnie, zwraca się w bok boska szyja, już za chwilę oglądasz w zachwycie przezysty profil, a teraz — plecami obróciła się piękność i wzgardliwa, skryta twarz przed barbarzyńcami, oniemiałymi w podziw.

Zapominasz o custode, kręcącym podstawą ruchomą i wywołującym co piętnaście minut ten sam cud a zwiduje ci się Wielka Czarownica, ta sama co usidliła

Tannkäusera w pieczarach Hörselbergu, ta, którą jak najstraszniejszego z demonów wyklinali średniowieczni papieże, od Wenus z Milo starsza, wyrafinowana, więcej może wielka dama niż bogini, mądra i urokiem niesamowitym drażniąca, smukłością cudowną kształtów pojąca oczy: pani Wenus, królująca dziś w czerwonej kapliczce, pomiędzy Ledą a Amorem łuk napinającym, w Galerii Kapitołińskiej,

II.

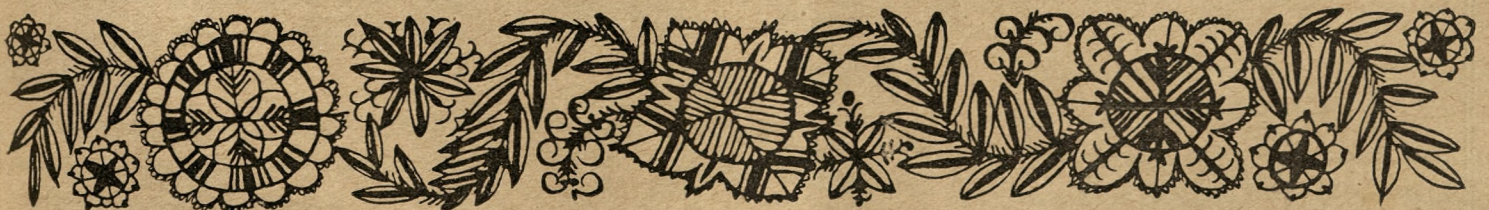
Najpiękniejszy klejnot ślicznej galerji Borgkese, cudna pani, niegdys małżonka mniej uroczego księcia i posiadacza willi, w której króluje dotąd, nie dbając czy księżęcą czy królewską jest teraz własnością, króluje dzięki genjuszowi rozkochanego artysty, który zdołał dać swej młodości nieśmiertelność.

Cóż, że wspaniałe jej ciało strawiła okrutna choroba i że wcześniej, zbyt wcześniej, w proch się obrócił jej wdzięk! W tym marmurze żyje i choć katalog mianuje ją oficjalnie: Wenerą zwycięską, wie się, że to jest Paulina, Paulina Bonaparte, księżna Borgkese, również wspaniała i amoralna jak jej nadczłowieczy, ukochany brat, Venus victrix siostra zwycięskiego Napoleona. Wpół leżąca,

wpół siedząca na swym cudownym szeszlangu à la pani Recamier, bardziej drażniąca półnagością od klasycznych bezszatnych posągów, ale bynajmniej nie perwersyjna trzyma w dłoni jabłko: hołd dla najpiękniejszej.

Trzeba widzieć ten marmur, którego żyłki, w dziwnie wyrafinowany sposób dobrane, zdają się pulsować życiem, aby zrozumieć czar, który wlał weń chłodny zazwyczaj Canova. Czar dotychczas działający tu, w tylu komnatach, gdzie jakby nie wywietrzała jeszcze woń jej perfum, boskiej Pauliny. Patrząc z boku na różnych widzów, podchodzących do amarantowego sznurka okalającego rzeźbę i niedozwalającego zbliżyć się do niej za- nadto. (Inaczej każdy by chyba dotknął palcami marmuru, czy nie gra w nim ciepło krwi). Idzie piękny oficer, oczy błyskają mu szczerym, nieco swawolnym uśmiechem. Tak musiał patrzeć na cudną siostrę Imperatora, nasz książę Józef, cieszący się ponoć łaską płomiennej Korsykanki. Idzie poważny, długobrody kapucyn, stukają po marmurze trepki opasujące jego bosc nogi. Okulary na nos nakłada, schyla się i bacznie przygląda.. Czy — Apage Satanasi! — mruknie, czy dobrotliwie pochwali Boga w piękności stworzeń jego?!

K. Bielańska



JULIUSZ WIRSKI

BALLADA O UMARŁYM KASZTELU

*Na blankach groźnych murów z ciosanego kamienia
W dzień i w nocy, wieczyście, nigdy nic się nie zmienia.
Zieją mrokiem przepastnym opuszczone strzelnice —
Głuche na słońce złote i na srebrne księżycy.*

*Biją baszty kamienne w niebo czołem miedzianem,
Jednako w zmierzch wieczorny i jednako nad ranem.
Tkwią, na głucho zabite, zwodzone ciężkie mosty,
Po skarpach starych murów pełzną pleśń i porosty,*

*Runęły już od wieków dębowe ostrokoły,
Wyschły fosy głębokie, zasypane na poły.
Po zboczach stromej góry wędruje las bukowy,
Po lesie wiatr zawodzi i pułacze i sowy...*

*Na kasztelu, na starym, za ciosową osłoną,
Czasem nocą—północą, pochodnie krwawo płoną,
(Od wnętrza jeno widać, boć zabite wierzeje)
Rubinowi się płomień, chociaż nic się nie dzieje...*

*Na kasztelu umartym, skroś rzeźbione krużganki,
Jak paciorki różańca, suną zmierzchy i ranki.
Ale czasem, północą, — (niech nas Bóg ma w opiece!)
W mrocznych salach rycerskich tysięczne płoną świece!...*

*Nie trzeba wierzyć ludziom, że coś w zamku się święci:
Nie za naszych to czasów, nie za ludzkiej pamięci!
Żadnych cieniów, upiorów, ani panów rycerzy,
Jeno płomień pochodni, jeno czerwień się szerzy...*

*Głucha cisza mży wkoło... krążą sowy, pułacze...
To kłamstwo, że w kasztelu ktoś przeklina i płacze!
Niema nic i nikogo... Krwawią jeno pochodnie,
Jakby pogrzeb sprawiono, a może — straszną zbrodnię...*

*I nikt nie wie dlaczego w starym zamku lęk włada,
Tylko czasem wśród ludu legenda krąży blada:
„Złe — mówią — ciężkie wrota i wchód wszelki zaparło,
Bo tam Piękno zabito, bo tam Piękno umarło!...”*



PIWONJE

Wspomnienie. Matce mojej poświęcam.



Maju mego dzieciństwa!

O wczesnym ranku odnajdujemy na klombach tuż przed domem siwo-zielone główki mających rozkwitnąć piwonij. Wśród rabat przysiadły ciemne krzaki. Pomiedzy liśćmi tkwią sztywne, nabrzmiałe pąki. Poprzez pęknięcia niektórych, jak przez szparę wyziera amarantowy pasek. Na liściach perli się rosa. W powietrzu jeszcze stoi chłód wczesnego dnia.

W pąkach piwonji czai się czar wiosny — kryje się powieść, powieść długa o życiu, coś bolesnego, a zarazem rozkosznie życiowo głębokiego, coś, co nadejdzie kiedyś, co się otworzy i rozwinie stopniowo, jak rozchylające się i dcjrzejające płatki kwiatu.

Tkanina życia — mocno zwinęta w zamknięty pąk u wiosny dni człowieka. Pąkowie możliwości i nadziei. Poprzez szczelnie stulone listki kielicha wyrzy czasem niespodziewanie purpurowy pasek — przyszłości, zapowiedź cudownej dali życia — mocy, potęgi i pełni.

Zanim przyjdą pracowite dni dojrzałości — wymierzone, równe, wypełnione krzątaniną w słońcu, lub pod chmurami nieba, niby cierpliwe krążenie owadów, zajętych z apobiegliwie miodnem zniwem...

Na zielonych łąkach dzieciństwa bujnie rośnie świeża, wonna trawa. Jest to czas, gdy ziemia z czarnej piersi wysyła mocne tchnienie rozkwitających roślin.

Zieloność radosna, jasna wokoło. Wśród niej naiwnie rozsiane kwiatki: pierwiosnki, zawilce, jaskry.

Idziemy z bratem w pole. Wiatrak rozpostarł swe ramiona; chwieje niemi zapamiętałe i gwałtownie, jak brutalny olbrzym, walczący z niewidocznym wrogiem. Zamiata powietrze i kołysze ociężałe zamysłoną głową.

Idziemy wąską drogą między polami. Na prawo i na lewo otwierają się jary, zieją rozpadliny i wyrwy — i znów zielone pole, ozimną witające.

Brat śmieje się szeroko i z wysokości swej patrzy i zda się drwić ze mnie, a zarazem nurza się całą swą istotą w wiosenności dnia:

„Tam ptaszki zielenne,
Śpiewają odmienne
Piosneczki...!”

improvizuje naprędce i patrzy, czekaając efektu tej bezsensownej zwrotki.

Urażam się za niewykwintny wiersz, dowodzący o lekceważeniu mojej osoby. Lecz brat śmieje się głośno, podnosi mnie, kładzie sobie całą mą rękę do ust, rozbraja — i znowu idziemy wiosennym szlakiem, pozostawiając za sobą dom — przystań, gdzie się wypoczywa, chroni, ogrzewa i uspakaja. Idziemy w stronę zachodzącego słońca.

A Brat — Ten, który poznał już kawał świata, ten, który przynosi ze sobą rozmach życia, gwar, śmiech, wir pomysłów i projektów,

skarbiec niewyczerpany żartów i zamierzeń, Ten którego życie będzie ciąglem zdobywaniem i zwycięstwem, który ma w dłoni tajemniczą łaskę spełnienia — wielki mój Brat — Czarodziej Bohater — kroczy ze mną, stawiając duże kroki pewną swą stopą, jak gdyby łykał nią przestrzeń, śmieje się i śpiewa swą łobuzerską, bezsensowną piosenkę: —

„Tam ptaszki zielenne,
Śpiewają odmienne
Piosneczki...!”

mruga do mnie porozumiewawczo, śmieje się drwiąco: „Cóż, moje „stare próchno”?”, mówi, by zgębić mnie i upokorzyć.

Zieloności i złota pełną jest tamta wiosna mego dzieciństwa. Wysoka postać mego brata miga tu i tam, zjawia się w domu, w ogrodzie wśród pola i wioski. Idzie wszędzie jak twórca i inicjator. Tam, gdzie wchodzi, zaczyna się czyn i ruch, — jest cały energią, rzutem, działaniem.

I niesie ze sobą — jak pąk piwonji — zawrotne tchnienie przyszłości, możliwości, przestrzeni, życia wśród obszarów nieskończonych, sięgania najdalej, mierzenia sił na zamiary — niesie ze sobą nie wiedząc o tem, smak wielkości życia, rzutowania, wybiegania przed siebie — i głosi bezsłowne wezwanie do sił utajonych w zamkniętych szczelnie pąkach. Działa jak słońce i jak wino, odurza i zaraża tęsknotą do rzeczy najtrudniejszych, najniemożliwszych.

Jest w nim coś z Dyonizesa, z Dyonizego z Auxerre! *N. Samotyłowa.*



GŁOSY WSPÓŁCZESNYCH O DEOTYMIE

Hołdy składali Deotymie współcześni za jej improwizacje. Gdy utrwałała natchnienia swe w druku, wrażenie słabło. Entuzjastyczni słuchacze stawali się mniej gorliwymi czytelnikami. Dlatego sława „poetessy” była szczególnie związana z życiem literackim Warszawy. Kto zetknął się bezpośrednio z tem niecodziennym zjawiskiem, głosił wielkość młodej improwizatorki.

Krytycy jej wyszli przeważnie z grona czytelników — nie słuchaczy i sądy swoje wypowiadali zazwyczaj prywatnie, nie wpływając na zmianę ogólnie ustalonej opinii.

W r. 1854 Lucjan Siemieński planuje szereg charakterystyk anegdotycznych żyjących pisarzy. Prosi o nie Kraszewskiego, obiecując nazwisko jego zachować w tajemnicy. Następuje wymiana listów, przyczem obaj korespondenci nie szczędzą Deotymie ostrych przycinków. Warto przytoczyć list Siemieńskiego w tej sprawie, z dnia 20.II, 1854 r. List ten znajduje się w autografach biblioteki Jagiellońskiej zawiera on pogląd autora na współczesny ruch literacki w Polsce. O „poetessie”, wyraża się Siemieński bardzo surowo.

„Deotyma — pisze — trzyma berło poezji — zapomniano już o jej poprzednikach, nawet autor Grażyny szwankował bardzo na sławie. — Kaczkowski zwyciężył Rzewuskiego — nowonarodzony Sarturiewicz zjadł swego ojca. — I cóż tu mówić na to? Wystąpić przeciw powszechnemu głosowi — powiedzą: żeś zazdrośny, że lubisz czernić, że tylko upatrujesz strony ujemne. Niechże się nimi pobawią jak norymberską zabawką dzieci, póki ich nie znudzi i nie pójdzie na śmietnik.

Z nudzenie to największa próba, kochany Panie. Publczność sama się okpiwa, kiedy ekstazuje się nad Deotymą, gdyż poszedł bym o zakład, iż na stu czytelników ledwo dwóch lub trzech obdarzonych rzadkim przymiotem cierpliwości, mogło ją od deski do deski przeczytać. Czy jeździłeś pan żelazną drogą, której na szczęście u siebie nie macie — jeżeliś pan jeździł, toś zapewne doświadczał śmiertelnej nudy, — która z tego pochodzi, że droga

ta jest równą, gładką, prostą — owa zaś różnorodność obrazów, przesuwających się piorunem, jeszcze pomnaża tę nudę, bo cię tak odurza, że na nie patrzeć nie możesz.

Kolej żelazna — to improwizacja Deotymy. Ton jeden, styl jeden, sztuka jedna i nawał obrazków pozbieranych z całego świata, a powikłanych z sobą ni w pięć ni w dziewięć, sprawiają, że przeczytawszy jedno, czujesz już przesyty — więcej: — nudności. Masz pan słusność: na jakiejś encyklopedji, lub lichej niemieckiej estetyce, robiła swoje studia. Jest to prawdziwa, jak mówi Pismo Święte niewiasta świętobliwa, a błędna. Biedaczka błądzi w tym chaosie pochwytnych teoryj estetyczno filozoficznych i mimo woli brnie sobie w niemiecki panteizm.

Mimo tego szczęśliwy bardzo tok wiersza, myśli i porównania uderzające nowością, jest materiał do pozazdroszczenia, szkoda, że mało w niej prawdziwego czucia, a tak wiele teatralności. Zdaje się, że to krew matki działa, która podobność jest córką aktorki i Fajans źle się jej przysłużył zrobivszy z niej karykaturę Wniebozięcia N. Panny”. Z. Szmydtowa.



MARJA JEHANNE-WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadomości)

14 NIECH ŚOI SPOKOJNIE ŚNIA-
DA ORMIANKA, W HABICIE
SIÓSTR DOMIKANEK, ZA-
GŁODZONA PRZEZ KURDÓW
W POCHODZIE EWAKUACYJ-
NYM. NIE WIEDZIAŁA, ŻE ZA
SKAŁĄ KRÓLOWEJ SEMIRA-
MIS. ZA JEZIOREM WAN, ZA
MORZEM CZARNEM LEŻY
MOJA OJCZYŻNA, A UMARŁA
DLA NIEJ BEZ SKARGI, PO-
GODNIE SZEPCZĄC RÓŻA-
NIEC.

Ze wszystkich tworów, jedna miłość pozostała nieprzeobrażoną i niezmienną.

Szał miotał kabylem przedh'istorycznym tak samo, jak najsubtelniejszą markizą XVIII wieku.

Tarzały się królowe u nóg pastery i moźni tego świata zdobywali z trudem, lub łatwością, serca miodinetek.

W tej dziedzinie, w tej jedynej, nic się nie zmieniło.

Dziwią się planety, dziwi się sprzęt każdy, podleający srogiemu prawu ewolucji, dziwią się nawet

same serca, ale to nie wpływa na istotę miłości.

Wycina się wyrostek robaczkowy — rozmaite organy stały się przeżytkami — serca nie tknęły wieki.

Królowa Semiramis tak samo kochała Arę Pięknego, jak Homo Neanderthalensis kochał Feminę Neanderthalensis, jak Khunaten kochał berberyjską księżniczkę Tii, o oczach koloru sasanki, jak Tut-hankamon kochał swoją piętnastoletnią, ciemnocerą małżonkę Anches jak Joanna Obląkana, kochała Fi-

lipa, Juljetta Romea, a panna de La Vallière płochego króla Francji, Nic się nie zmieniło w biegu historii i ludów. Wzajemność lub bezwzajemność tworzyła nieraz olbrzymie państwa i obracała je w pustynię.

Ara Piękny naprzykład, wolał pasterkę ormiańską od najwłaściwszej królowej Babilonu. Wzgardził Semiramidą dla czarnego czupiradła, a pod wpływem tej wzgardy, miłość królowej spotęgowała się do wyżyn szału, graniczącego z nienawiścią.

Całą swoją assyryjską armję powiodła przeciw temu księciu, który wolał od niej pasterkę śniadą. Niszczyła kraje, zatapiała okręty, wycinała lasy, mordowała białe żółte i czarne ludy Azji, byle dotrzeć do tego głupca, który nie chciał ani serca swego jej oddać, ani ziemi.

Na krwawych włóczniach swoich pułków, niosła mu zakłęcia miłosne, na ostrzu mieczów, swoje serce stęsknione, a Ara przebrał się za prostego żołnierza i jako prosty żołnierz walczył tu, nad jeziorem Wan, przeciw jej wojskom, przeciw jej tęsknocie, jej zakłęciom, jej sercu. Śniada pasterka niosła za nim tarczę i syna.

Lecz wszystko tamto okazało się mocniejsze od niego.

Poległ Ara Piękny.

Pośród trupów, gęstych jak las, wynałazła, wyczuła, wypłakała go królowa Semiramis. Kazała owe pełne niewidzianej cudności zwłoki nieść w splendorze swego królewskiego namiotu, pod wachlarzami z piór najrzadszych ptaków, a sama, jęcząc szła za pochodem i rwała włosy ogniste.

Przed cudotwórczymi bóstwami Lezku uklękła, nie wierząc i wierząc, i krzyczała głosem wilczycy, aby zlizwały śmierć z cudnego oblicza, aby jej obudziły kochanka, choć nie przeciąg jednego pocałunku...

Bóstwa jednak szanowały wolę Ary i jego wstręt. Nie zbudziły go, nawet na przeciąg jednego królewskiego pocałunku — może one zresztą zbyt długo trwają? dość że więcej nie powstał z mar swoich Ara Piękny,

Śpi pod skałami Lezku, nad jeziorem Wan, a dusza królowej Semiramis czasem przychodzi w noc miesięczne i tuła się u stóp grobowca. Nie o ziemię Armeńską jej chodziło, bo po pochowaniu najdroższych zwłok, machnęła ręką na podbitą, żywną, wspaniałą krainę.

Panował spokojnie do końca życia syn Ary, urodzony ze śniadej pasterki.

To wszystko spisane jest pismem klinowem, zatartem na steli u wejścia miasta Wan.

Karawana ewakuowanych błędami oczyma patrzyła w ten znany napis i w to miasto. Pamiętał tu prawie każdy dokładnie legendę królowej i wielu z tejże miejscowości pochodziło.

Wlekli swoje nędzne, wygłodzone, zbite batami Kurdów ciała bez protestu i nie wyglądali zdaje się niczego, chyba śmierci.

Ku temu więc miastu, obrócone mu w miazgę i gruz, szły obojętnie dzieci, na węgiel spalone słońcem, szli starzy, o włosach wydających się śniegiem przy ciemno-oliwkowej cerze, szły kobiety różnego wieku i stanu i szła jedna zakonnica w białym habicie sióstr Dominikanek.

Cała śniadość ormiańskiej rasy, dopiero pod białością kornetu występowała ostro.

Bywają takie bizantyjskie obrazy madonny. Blacha srebrna wokół, a z poza srebrnej blachy patrzy na ciebie twarz koloru sienny i przepaściste, czarne, łagodne oczy, Równie z rękawów srebrnych wyglądają dwie rączki, miłosierne i czerniawe, jak napół spalona kawa.

Tłum niósł ją właśnie tak, jak bizantyjską ikonę przed sobą, jak feretron o tajemniczej mocy ochronnej. Żadnych świateł przy niej, ni gromnic a mimo to lśni z daleka białością swojego habitu, którego

*) Abdulahami zwano w Armenji od szczepieńców wiary chrześcijańskiej. Wypadki opowiedziane powyżej działy się w roku 1915 w Armenji, gdzie Kurdowie wyrznęli blisko milion Ormian. Patrz Henry Barby: „Au pays de l'èpouvante“.



zbyt podarty, ciemny płaszcz nie zasłania. Jak żagwie przystani tak płoną jej oczy.

Czerniawe ręce siostry Ankinn przesuwały wciąż ziarenka różańca. Będąc na progu śmierci, musiała podwajać ilość modlitw, zresztą wymagali modlitw i bliźni. Zamordowani zostali w jej oczach i najprzewielebniejszy biskup z Kharputu i biskup Khaczadarian z Malacji i wszyscy księża z Seertu, Neren Chachiru i Meddeath. Większą zgrozą niż te mordy napełniała ją myśl, że chrześcijanie z Erzerum przeszli na mahometanizm, aby się ustrzec od śmierci z rąk Kurdów. Modlitwa jej była wzburzona, ale nieustanna za duszę tych Abdullahów*).

Niewiadomo też, co się stało z ojcem Bernardem, przełożonym ich francuskiej misji dominikańskiej w Wan... Święta Gajene, patronka Armen, opiekuje się nim... Nawprost skrzyły się ruiny miasta. Jezioro myło jego rozgrzane, poturbowane stopy, jak miłująca pokutnica, wstęgami złotych włosów. „Stara cytadela zagradzała mu drogę do opustoszałego wnętrza, a bazar Khadzpogan odgradzał samo wnętrze od tak zwanych „ogrodów“. Wszystko to było rozstrzelane armatami Dzewdet-beja, Wszystko już było chwałą minioną.

Dla mniszeczki ta miniona chwala nie była budującą. Również zachowanie Boga i ludzi. Ale żal jej było kątów swoich i swoich rodaków i w dodatku ziemia ta, była potrochę Ziemią Świętą dla niej, Stąd przecież wypływała rzeka Eufrat, która zwilżała swego czasu Raj i poila usta rodziców pierwszych i pierwszych patryjarchów — tu wznosiła się święta góra Ararat, Może dlatego łaskawsza była mniszeczka na przyszłość Wanu i na swawolę jego mieszkańców, którzy mawiali, białe zęby obnażając:

„Wan jest na tym świecie, a raj na tamym świecie, co piękniejsze“...

Zakonnica wierzyła, wiedziała, że na tamym raj jest piękniejszy, dlatego wkraczała do Wanu ostatkiem sił, bo tam napewno kres.

Nogi jej spuchły od dalekiej drogi i od straszliwego głodu. Widziała już na nich początki głodowej gangreny, czyli początek końca.

Podwajała tylko modlitwę i strzępem czarnego płaszcza dominikańskiego osłaniała się od wichru. Przestała sobie zdawać sprawę, czy ten wichur pali chłodem, czy żarem. Chyba żarem, bo to sier-

pień. Dość, że palił nieokreślonym podmuchem i gnał karawanę wprost w paszczę rozwalonego miasta, a pomagał mu w tem bał szesnastoletniego okrutnika, Mussabejowego syna.

Od przejeżdżającego muły dostała rano kawałek chleba, lecz nie mogła go przecież zjeść, kiedy wokół wszystko z głodu ginęło. Więc ukradkiem wetknęła kromkę bezzębnej staruszce, a ta zaczęła zaraz ową kromkę ssać z mlaskiem dzikiem.

Przed stelą o klinowym napisie, przed wrytym obrazem życia assyryjskiej królowej, ukłękła jednak. Nie mogła już iść dalej. Wzdrygała się na myśl, że musi umrzeć, kładąc przed tą tablicą, opowiadającą plugawą dzieje wszetecznej poganki, ale cóż? kto Boga szuka, znajdzie Go wszędzie — w miejscu najokropniejszym, cienka warstwa Go tylko zakrywa i lada głosik błagalny Go dojdzie jak flet..

Tłum deptał ją teraz, potraçał, wygłodzone muły odskakowały w bok przed jej leżącą postacią, ale koła wozów przejeżdżały tuż o włos od jej twarzy, od jej rąk — wszystkim nagle stało się spieszno do ruin, wśród których ktoś może znajdzie w przelocie kruszynę chleba i sekundę odpoczynku.

Najbliższą owego błogosławionego odpoczynku, była jednakże siostra Ankinn, Dominikanka.

Martwiło ją, że dziś nie mogła wedle praw swojej reguły, przyoblec nowego habitu, jako, że to był dzień św. Dominika piękny, sierpniowy dzień, w którym wszyscy Dominikanie na całym świecie, nawet na łożu śmierci, przyoblekają czysto wyprany, odświeżony habit — ale Bóg wybaczy. Nie jej wina. Na św. Katarzynę Sieneńską też go nie zmieniała — też była bez dachu..

Ścisnęła mocniej różaniec w czerniawej, rozpalonej dłoni i zrazu powtarzała zdrowaśki swoim śpiwnem, spiesznem, indogermańskim narzeczem dziwnem. Kiedy jednak po chwili przyszło jej na myśl, że umiera, przerwała różaniec i poważnie, pełna pogody, zaczęła wymawiać przepisowe, łacińskie modlitwy zakonne dla umierających:

— Protege Domine, famulam Tuam subsidpacisis et beatae Mariae semper Virginis...

Subtelna głowa w rozmiękłym od deszczów kornecie, oparła się ufnie o tablicę z klinowym napisem, głoszącym miłość królowej assyryjskiej do Ary Pięknego i miłość Ary Pięknego do śniadej, ormiańskiej pasterki. Nie szkodzi.

Kto Boga szuka, znajdzie Go wszędzie. W miejscu najokropniejszym, cienka warstwa Go tylko zakrywa i lada głosik błagalny Go dojdzie, jak flet..

I tak zginęły w zawierusze wojennej, te dwa krańcowo obce sobie światy, kleską zbliżone z pozoru — aby poza nimi powstał mój świat: moja Ojczyzna.

15. NIECH ŚPI SPOKOJNIE KARY KOŃ NA MAZURSKICH JEZIORACH, KTÓREMU GRANAT WYPRUŁ WNĘTRZNOŚCI I ZASYPAŁ DOBROTLIWE OCZY SZUTREM I BŁOTEM.

Na przedzie kary koń, tak ładny, że aż za ładny. Jak bywają ludzie zbyt ładni, przesadnie piękni, tak bywają i konie przesadnie piękne.

Ten na przedzie był właśnie za ładny!

Chrzęści na nim radośnie uździenica też za nowa — grzywa, zapełniona w warkocze — warkocze powiązane tęczą wstążek, jak kłoski dziewczęce fruwać na wietrze.

Aż za piękny, kary koń!

Chrapy ma wytynkowane na rubinowo, oczy jak u demimondainy, zapuszczane atropiną, nie przecuwające żadnej grozy — skąd!

Pan jego go wie dzie, to dość!

To nie tylko „dość“, to raj, to upojenie! A jeszcze go Pan poklepie po szyi, po której siedemkroć sto tysięcy żyłek się nadyma — szczęście jego przechodzi w stan zachwyty, w nieprzytomną extazę, w wulkany młodzieńczej ochoty! Tchu mu brak, gardziel ściska żar i uniesienie — nie może pohamować wybuchu, więc podnosi cudny,

aż za cudny łeb i rzy jak grzmot na wszystkie cztery węgły świata.

Odpowiadają mu inne konie, w szeregu stąpające — coraz dalsze coraz dalsze — nawet ten nędzny, dereszowaty pokurcz, który wlecze bęben piechocie i ta pękata krampa od kuchni polowej..

Gdzieżby go Pan wiódł w niebezpieczeństwo?! gdzieżby narażał te jego przesliczne, aż za przesliczne nogi z jedwabiu i muskułów, tę jego lśniącą pierś, te jego buńczuczne oczy, te dumnie łopoczące chrapy — nonsens!

Idziemy w tan, idziemy w turnieje, idziemy w igrzyska! Ziemia drży? No tak. Z uwielbienia drży, armaty ryczą na chwałę — on to zna! Odbywał nie jedną rewiew w obliczu najjaśniejszego Dworu (gdzieżby jaka rewja bez niegola?) cóż go może zmieszać po spojrzeniu tamtych kilkunastu par najdosłowniejszych oczu, przed którymi „wyskakiwał ze skóry“ wprost, aby się pokazać, aby się wyróżnić, aby być najkрасiwszym z krasiwych...?

Jak flet wysmuka się, lśniący i drżący w palcach swego pana. Nozdrza jego rozedrgane nie wciągają niczego, krom upojenia i uszy malutkie i ostre nie strzygą, choć bzyk częstotliwy, świszczący wzmagają się i raz poraz przecina powietrze, jakby tuż nad łbem, nad cudnym, nad nazbyt cudnym łbem.

— Bzzz... w iijjjuuuuu.. bummm trach! trach! trach!

Z niespodzianego krateru leci gdzieś w niebo i wśród nagle pościemniałej, ognistej zorzy, wali nim coś o ziemię — popregi pękły wszystkie — coś się dzieje — czarno, a wśród tej czarności rozlewa się mąż, a wśród tej mazi, zwiłają się wokół niego i rozwijają obwarzanki cieńkich, krwawych węzów. Jakby mu z brzucha wypływały —

Jak też patrzą oczy jego w osłupieniu!

— Gdzie Pan? gdzie szczęście? mówi ich słodki, barbarzyński aksamić.

Drugi grzmot, trzeci, czwarty.

Dobrotliwe oczy zasypuje teraz błoto i szuter, a męka zaczyna prawie dorównywać dawnemu szczęściu.

Aż mija, jak szczęście. (c. d. n.)



WANDA MIŁASZEWSKA

2

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

Zbliżającą się starość przeczuwam nie od wczoraj. Że mam kilka siwych nitok we włosach? To jeszcze drobiazg. Szatynki wcześniej siwieją. A zresztą: „Bodajbyś cudze dzieci uczył!” — tak przecież brzmi przekleństwo, choć kto, jak kto, ale te dzieciśka kochane siwizny mi nie przysporzyły.

To zresztą także drobiazg. To nie to. I lekki zarys zmarszczek pod oczami, zapowiedź „kurznych łapek” w przyszłości — i ten ledwo widoczny, a przecież widoczny żółtawy ton skóry, przeświecający jakgdyby od wewnątrz — to także nie to. Starość moja, starość, czekająca na progę, to owe dziwne nastroje, którym poddaję się coraz częściej, to ta jakaś malaise, na którą nie znajduję w tej chwili polskiego określenia. To te okresy smutnych zapadań w zadumę. W zadumę nad czym? Bóg raczy wiedzieć. Nad niczem specjalnym, albo poprostu nad tem, że życie płynie i ucieka mi z przed oczu coraz chyżej...

„Ucieka?” Zły wyraz. Ja życia nie chwytam za poły, nie staram się powstrzymać go w biegu. Więc nie ucieka, ono tylko przechodzi. Przechodzi mimo mnie, nawet mnie mija. A niech tam.

Dlatego tak lubię patrzeć w słońce o zachodzie, że zawsze jednakim wzruszeniem obserwuję odwieczne zjawisko. Drgnęło? Ostatni raz? Nie: jeszcze błysło. I jeszcze. I jeszcze maleńki rąbek płonie różowo nad linią horyzontu. Podobno to już jedynie spectrum słoneczne, lecz drga i płonie tak samo...

Słońce wędruje przez niebo, jak człowiek przez własne życie — i jeden tylko ma zenit: południe. A potem rozpoczyna się pospieszna wędrówka w dół, ku innej, ku tamtej stronie. Wreszcie, nim wszystko zapadnie w nicość, szarzej, zgaśnie, — ta jedna, krótka chwila, — jak błysk — która zdaje się trwać nieskończenie... To przejście w inne światy, ten moment, w którym zarówno człowiek, jak słońce, w jednym ułamku sekundy przetrzymuje całe swoje istnienie.

Wszystko to mogło być powiedziane lepiej i piękniej. Nie mam pretensji do celowania w dobrane metafory. Jestem zwyczajną śmiertelniczką, nie wynalazłam prochu.

Należę do rzędu tych istot, które każda stara prawda, przez nie odkryta, zachwyca i dziwi...

Miałam raz ucznia, który kosztował mnie wiele pracy, gdy chodziło zwłaszcza o mnożenie, czy dodawanie. Chwilami z rozpaczą sądziłam, że dziecko jest chyba kretyńskim, skoro w żadnym sposób pojąć nie może, iż dwa razy trzy jest — sześć, a trzy razy trzy — dziewięć. Przez szereg dni chłopczek odpowiadał bez sensu, na chybił-trafił. Szalałam. Wreszcie pewnego ranka malec niechcący odpowiedział trafnie... I nagle oczy mu zabłyśły, klasnął w ręce, wykrzyknął:

— To, proszę pani, jest tak: Jak dostanę dwa razy od mamy na tramwaj, to będzie sześć kopiejek, a jak dostanę trzy razy to będzie... — zastanowił się i po chwili dorzucił triumfalnie: — To będzie dziewięć!

Zrozumiał. Coś błysnęło w mózgu, jakieś pojęcia oderwane skojarzyły się ze sobą, przestały być abstrakcją...

Ilekcję zdarzy mi się w życiu coś zrozumieć, uczynić takie fenomenalne odkrycie prawd znanych i uznanych — przypominam sobie tego malca i nabieram otuchy...

III.

Chaos w myślach trwa nadal. To już czwarty od pamiętnej niedzieli, czwarty tydzień od mego tutaj przjazdu.

Więc naprawdę można tak długo przetrwać wspomnienia? Nie uwierzyłabym, gdyby mi powiedziano rok temu, że kiedykolwiek pozwolę się do tego stopnia obywatelnąć pierwsz j lepszej fali, płynącej z błękitnego Wczoraj ku szaremu Jutru. Czyż doprawdy przeszłość była taka błękitna? Kto wie, może moje bezbarwne „dzis” nabierze kiedyś, przez oddalenie koloru?

Postanowiłam sobie nie odwiedzać zbyt często Klimontowskiego zakątka. Znadto mi obraz jomy przenika. Jestem później, jak klisza, którą wywołano, ale nie utrwalono. Kontury wszechświata, co żywe wchłaniałam w siebie ongi, zarysowują się wyraźnie, by wkrótce poczerwieć w świetle rze-

czywistości. Czegoś nie dostaje tym obrazkom z natury. Może camera obscura — owo sanktuarjum wspomnień — nie była tak szczelna, jak sobie wyobrażałam?

Na szczęście, tydzień składa się z sześciu dni powszednich i jednej tylko niedzieli... Od ósmej do dwunastej dzieciaki siedzą rzędami na długich ławkach, poustawianych pośrodku tak, że przy każdej ścianie mam wolne przejście. To mi ułatwia kontrolę nad niesforą gromadką. Przechadzam się między trzydziściorgiem drobiazgu, zaglądam w zeszyty, czasem na kolana, gdzie wzdęty fartuszek świadczy o okazałym zapasie Antonówek i Złotej renety... Mimowoli uśmiecham się w duchu. Te dzieciaki jeszcze się mnie boją, a raczej — będą się mnie obawiały zawsze. Jestem dla nich autorytetem, władzą, jednostką wszechmocną, od której zależy wysokość stopni i wymiar kary za każde wykroczenie.

Od drugiej do czwartej następną porcją: Dzieci młodsze. Czekam niecierpliwie na przyobiecany pomocnicę. Kopa mózdków nieskazitelnie pustych, to trochę za wiele na moje trzydziści sześć lat, na mój chroniczny katar krtań, na mój sterany organizm.

Chciałabym, aby ta pomocnica nie była koniecznie osobą rutynowaną, z dyplomami, ale musi być młoda i energiczna, musi lubić dzieci i swoją pracę tutaj. Ma wkrótce takie stworzenie przyjechać i zamieszkać na plebanji, gdyż „burmistrz” (jak to brzmi patetycznie w mieście, które się nawet brukami od zwykłej wsi nie odróżnia!) nie przystaje na drugą lokatorkę.

Naogół jest mi niezłe wśród tych ludzi. Żyją „po prostu”, ale jest w nich ta jakaś godność, cechująca tutejszych mieszczan. Podobno po dziś dzień przechowują z pietyzmem papiery, świadczące o przywilejach, nadanych temu „miastu” przez samego króla Władysława Czwartego! Dlatego mieszczanie tutejsi cenią swe pochodzenie narówni z zaściankową szlachtą, której przedstawiciele mam zaszczyt oglądać codziennie, drepcących boso przy pługu, gdyż właśnie idzie w najlepszą jesienną orkę.

Na wieść o moim przyjeździe Burmistrz kazał wybielić czysto izdebkę i wstawić nowe szyby. Było to zresztą koniecznością, gdyż powybijała je tutejsza młodzież, uprawiająca do niedawna dziwny rodzaj sportu. Zabawa polegała na tem, że z nadejściem mierzczu chłopcy, zgromadzeni na „Ulicy Klimontowskiej“ (jedyniej zresztą w całym N.) dzielili się na dwie partje. Jedni nawoływali się w ciemnościach dyskretnem: A hul! A hul!, reszta zaś usiłowała trafić kamieniami w miejsce, skąd dobiegały głosy. Ucierpiało na tem sporo szyb w mieszczkańskich i żydowskich domkach, bo były mniej wytrzymałe od łbów tutejszych podrostków. Podobno kres tej pomysłowej igraszce położyła dopiero nasza polska policja.

Wiele też innych kulturalnych przepisów, mających na celu ochronę zdrowia, a nawet i życia, zawdzięcza miejscowa ludność „polskim rządóm“. Ja sama, w dniu przyjazdu, wybałuszyla oczy na wielki, przyciągający wzrok napis, zawierający niniejszą przestroję: „Myj ręce przed jedzeniem. Brudne ręce — to cholera“. Sądzę, że zwłaszcza ostatnie słowo, jako najbardziej zrozumiałe, przemówiło do przekonania tutejszym obywatelom polskim.

Kochany, poczciwy ludek, równie poczciwy, jak chytry i równie skryty, jak pobożny. Na zapytanie kto zacz, odpowie ci z naiwną prostotą;

— Ja tutejszy, panoczku.

A jeśli pragniesz czegoś więcej się dowiedzieć, pociągnąc za język, wówczas dialog powtórzy się niezmiennie jak Kanon:

— Wy tutejszy? Więc znaczy się Polak katolik?

— Taż hawariu, panoczku, szto ja tutejszy.

— No dobrze, dobrze. A katolik, czy prawosławny?

— Ja, panoczku, polskiej wiary, tutejszy znaczy. Prawosławne natchodzą się w drugiej wsi, a katoliki musi, na polskiej stronie.

Czyli poprostu stoi przed tobą białorus, katolik jak się patrzy, nawet nie unifa, choć nie brak w okolicy takich, którzy ongi przekradali się nocą lasami na chrzty i śluby.

Dziwny zakątek kraju. Niemal w samym sercu Polski leżący, a na pograniczu dwóch kultur, wschodniej i zachodniej. Ta „polska strona“ w której mieszkają „katoliki“ to — była Kongresówka, a zaraz o miedzę, ściślej mówiąc, za pasem bagien mieszkają ci „tutejsi“, ale koniecznie „polskiej wiary“.

Język też mają swoisty. Ni białoruski, ni polski. Nijaki. W sąsiedniej gminie już mówią „po ichniemu“ tu — „po prostemu“, a jak bardzo do muru przycisnąć — po polsku, boć przecie i wiara polska i ksiądz kazania polskie mówi i niemasz takiego, któryby nie rozumiał, chyba dziecko małeńkie.

Z proboszczem, poprawdzie przyjaźń nie taka wielka, jak ongi z księdzem Urbanowiczem, którego grzmiące kazania budziły grozę w mem dziecięcym serduszku.

Łajał, bo łajał, często wcale niewybredne słowa padały z amboni, a jednak mir miał wielki i posłuchanie wśród ludzi.

— Czy oni byli bardzo niegrzeczni, że się ksiądz proboszcz tak gniewa? — pytałam nieraz, ciągnąc matkę za rękaw.

Potężny bas księdza Urbanowicza huczał w kościele, grzmiał, niczem organy, a uderzenia wielkich, żylastych pięści wtórowały twierdzeniu, że zgnilizna moralna szerzy się pośród parafjan.

— Aristokratowie i socjaliści... hm... Demokratowie i nihiliści... hm... Wszyscy oni wyznajom jednemu wiarem bezwyznaniowom, hm... Albowiem i szatan bezwyznaniowom jest! — wypalił kiedyś staruszek podczas politycznej dysputy, którą Janusz Klimontowski stałe zagajał w południa niedzielne, ku radości wszystkich, bowiem najzacniejszy pod słońcem proboszcz zwykł był mieszać nazwy różnych prądów i ugrupowań społecznych, nie rozeznając ich jasno. Drogi, kochany ksiądz Maciej! Kiedy mię (bardzo już dawno) splakaną i wystraszoną przyprowadzili do pierwszej spowiedzi, położył mi ciężką rękę na głowie i jał uspakając swoim tubalnym głosem:

— Nie bój się, moje dziecko. Podejdz śmiało i wyznaj wszystkie grzechy swoje. Święta Maria Magdalena wielką była grzesznicą, a przecież Pan Jezus miłosierny wszystko jej przebaczył.

Miałam wówczas niespełna dziewięć lat...



IV.

Krótką i cichą była ta msza, którą, jak zawsze, zakupiłam za dusze rodziców w rocznicę ich ślubu. Odprawił ją młody wikary, ten, co zwykle obchodzi kościół z tacą w dniu świąteczne. Mały chłopiec odrecytował ministranturę, bardziej, niż zwykle, połykając wyrazy. Czarny ornat, dwie świece po bokach ołtarza — to wszystko. Gdzieś w głębi kościoła kilka bab starych, opatulonych w chustki, mamrotało pacierze.

Wracałam zziębnięta i smutna do domu. Przeniknął mię do szpiku kości grobowy chłód, wiejący od kamiennych tafli posadzki.

Wracałam smutna, myśląc o tych rodzicach, których tak mało pamiętam. Nie, to nieprawda. Pamiętam ich. Pamiętam nawet ojca, choć umarł, gdy byłam jeszcze bardzo malutka. Nosił dziwną, aksamitną kurtkę w prążki (przedmiot mojego zachwyty) i umiał gwizdać prześlicznie. Kiedy o zmroku dawał się słyszeć odgłos jego kroków na schodach, mama szybko zbliżała się ku mnie, poprawiała kołnierzyk, przyglądała włoski obiemu dłońmi, przestrzegając szeptem:

— Teraz Krysiunia będzie grzeczna. Tatuś wraca. Teraz Krysiunia będzie bardzo cichutko bawiła się sama, bo tatuś wraca zmęczony...

Więc byłam grzeczna. Przyczajalam się w kąciuku, śledząc z pod oka, jak tatuś zdejmuje filcowy kapelusz z szerokim rondem, jak wita mamę serdecznym pocałunkiem w czoło, jak potem siada na kanapie i ruchem znużonym zaplata ręce nad głową.

Czekałam z upragnieniem chwili, kiedy zapyta: „A gdzie Krysia?“ Wówczas wysuwałam się z mojej kryjówki i biegłam pędem, jak tylko pozwalały małe nóżki, przez cały pokój. Rzecz dziwna — nigdy nie mogę przypomnieć sobie dokładnie twarzy ojca, a za to ilekroć przymknę oczy i o nim pomyślę, widzę wyraźnie jego postać, te szczupłe, długie ramiona, w które wpadałam radośnie i które umiały, jak żadne inne, unieść mię wysoko w powietrze, prawie pod sam sufit. Potem siedziałam na kolanach ojcowskich, a dobry, żartobliwy głos nucił za moimi plecami:

Jedzie, jedzie pan, pan,
Na koniku sam, sam!
Sługa za nim
Ze śniadaniem,
A za sługą żyd, żyd!...

(c. d. n.)

G A M A S T O N

M E K S Y K A N K A

(z moich szpargałów)



1893 r. byłem delegowany do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, aby przestudjować gospodarkę dróg żelaznych, a zarazem na wystawie chicagoskiej

poznać nowości w budowie parowozów i wagonów.

Jednocześnie ze mną wyjechał z Kijowa inżynier, Moskal, kolega i przyjaciel, bardzo inteligentny, dobrze wychowany i wesoły towarzysz.

Po przybyciu do Chicago, zamieszkaliśmy w jednym z najwspanialszych hoteli „Auditorium“.

Delegatem rządowym, czyli t. zw. komisarzem wystawy oddziałów rosyjskich, był Rakuza-Suszczewskij, którego znaliśmy dobrze jeszcze z Petersburga.

Biuro komisarza: Russian Office, znajdowało się w środku placu wystawy i p. Rakuza-Suszczewskij, codziennie, od 4 ej po południu przyjmował tam doskonałą herbatką.

Przyjechał on na pół roku przed otwarciem wystawy i przywiózł z sobą 19-letniego kuzyna do pomocy. Jak się nazywał, nie wiem, był elegancki, przystojny, bardzo sprytny i miał wygląd 15-letniego młodzieniaszka, a ponieważ był drobny i szczupły, więc wesołe damulki nazywały go „chicken“ (kurczę). Przezwisko to tak przylgnęło do niego, żeśmy go wszyscy tylko tak nazywali.

„Chicken“ w okresie przedwystawowym miał sporo wolnego czasu. Mówił wyśmienicie po angielsku i francusku, a także niezłe po hiszpańsku. Poznał doskonale miasto i wszystkie jego osobliwości, wesołości, a nawet i wertepy: był wybornym informatorem i bardzo pożądanym przewodnikiem.

Na owych popołudniowych herbatkach zbierało się zwykle wiele osób, przeważnie wystawców płci obojga: Polaków, Rosjan, Czechów, Serbów i trochę Francuzów. Chłcon był ulubieńcem wszystkich; bawił nieraz i pobudzał do śmiechu opowiadaniem różnych „kawałów“ chicagoskich i zdarzeń na wystawie.

Pewnego dnia chodząc po wystawie, napotkałem oddzielny pa-

wilon, właściwie olbrzymi kiosk wschodniego stylu Wszedłem tam. Ściany wewnątrz całkowicie były zawieszane wspaniałymi kilimami i dywanami hinduskiego wyrobu; prócz tego wisiały olbrzymie tarcze mosiężne, cyzelowane, z czernionymi deseniami. Wszystkie eksponaty były przedziwne wykończone — i z wielkim zajęciem oglądałem je.

Naraz, przy końcowej ścianie kiosku, spostrzegłem kłknaście osób, siedzących przy malutkich stoliczkach i zapijających „coś“ z filiżanek.

Zbliżyłem się i zasiadłem na niziutkim taboreciku, przy ośmiokątnym stoliczku o ażurowych, bocznych ściankach, z palisandrowego drzewa, misternie inkrustowanego żółwicą i konchą. Na stole stał niewielki spodek z krążkiem wołoku, a na nim, w bryle przezroczystego lodu, uwięzione małe, srebrne naczynie ze śmietanką. Obok karzełek — cukierniczka.

Spostrzegłem, że roznoszą herbatę, skinąłem na usługującego i kazałem podać. Hindus czystej krwi, skłonił się, pokazał pięknej białości zęby i zawrócił w głąb; kierując za nim wzrokiem spostrzegłem bufet, na którym stało, o dziwo! kilka srebrnych samowarów. Hindus podał mi małą filiżankę bardzo gorącej i dziwnie aromatycznej herbaty. Początkowo piłem czystą, a drugą połowę z ową mrożoną śmietanką. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się pić tak wybornej kombinacji, herbatka była bardzo mocna, a śmietanka surowa, nadzwyczaj gęsta i słodka — podobno bawola. Ledwie zdążyłem wypić, zaraz poprosiłem o drugą, poczem zawołałem Hindusa i zapytałem, co się należy?

Grzecznie kłaniając się, z słodkim uśmiechem odrzekł:

— Nic.

Niepomiernie zdziwiony, chciałem jeszcze raz powtórzyć pytanie, gdy naraz zbliżył się do mnie wysoki, w bogatym stroju radży, w białym zawoju z brylantową agrafą i kitą, obwieszony sznurami pereł, młody, wielce przystojny mężczyzna.

— To ja, właściciel tego kiosku i eksponatów, częstuję szanownych odwiedzających herbatą — rzekł wyborną angielszczyzną — Od trzech lat plantuję u siebie chińską herbatę i aklimatyzuję ją. Pan widzę jest znawcą, więc raczy przyznać, że jest wcale niezła.

— Nic nie ustępuje wytwornym gatunkom chińskiej — odrzekłem.

Skłonił się znów i podał mi firmową kartę, z której dowiedziałem się, że nazywa się Rai Tej Narayan Singh.

— Zechce dżentlemani zaprotęgować mnie między swymi znajomymi.

Zrobił gest ręką, na której migotały plejady drogich kamieni,

Dałem „quarter'a“ (¼ dolara) usługującemu, ale miejsca nie opuściłem, rozglądając się dookoła.

Wszystkiego było ze sześć stoliczków, ale przy nich siedziało po dwie lub trzy osoby. Było dość gwarno i wesoło. Towarzystwo przypominało nieco czas przerwania budowy wieży Babel: słychać było przeróżne języki.

Od głównych drzwi szła wysoka, strojna dama i poczęła rozglądać się między stoliczkami; miejsc nie było — stanęła zaciskając mocno ręką parasolkę w środku tak, że niemal materia skrzybiała i ze złością usiadła przy moim stoliku.

Usługujący zbliżył się i skłonił, a ona wymówiła z dziwnym akcentem,

— One the.

Hindus poszedł po herbatę, a ja zacząłem przypatrywać się sąsiadce. Młoda, o mocno śniadej cerze, miała nadzwyczaj obfite, kručzej czarności włosy, nastroszone w pewnym nieładzie i obcięte. Oczy wielkie, o białkach z lekko niebieskim odcieniem, miały wyraz że tak powiem, gniewu czy roz-



drażnienia. W uszach złote kolczyki w kształcie wielkich bardzo pierścieni.

Hindus podał herbatę. Aczkolwiek blat stoliczka był bardzo mały — posunąłem ku niej o kilka milimetrów — cukierniczkę, aby okazać się uprzejmym. Sąsiadka wcale na to nie zwróciła uwagi, oparła parasolkę o własne kolana, zdjęła rękawiczki i zaczęła pić herbatę. Spostrzegłem bardzo zgrabne o wydłużonych paluszkach jasno cynamonowej barwy ręce, zwyczajem Amerykanek ozdobione na wszystkich palcach niepomierną ilością pierścieni z drogocennymi kamieniami. Biżuterję dopełniały bransolety i gruby złoty łańcuszek od zegarka, na którym wisiało kilkanaście wisiorów i amuletów.

Nie ruszyłem się z miejsca, obserwując ciągle moją sąsiadkę. Po wypiciu herbaty, zwróciła się do Hindusa.

— How much? — wymówiła to tak dziwnie, coś w rodzaju „hu mesz“ że Hindus nie zrozumiał. Wtedy ja powtórzyłem pytanie, na co odpowiedział, również jak i mnie poprzednio — że nic się nie należy.

Nieznamą zaczęła mówić po hiszpańsku — czego służący tem bardziej nie rozumiał. Widząc, że dama, zapewne nie włada językiem angielskim — zwróciłem się do niej po francusku. Spojrzała na mnie i gestem odpowiedziała, że nie rozumie, spróbowałem przeto po niemiecku i włosku, z jednakowym rezultatem.

Nagle przypomniało mi się, iż kiedyś czytałem, czy słyszałem, że gdy Kolumb pierwszy raz stąpił na ziemię amerykańską — zastał tam już Czecha, który wyskoczył z krzaków i grzecznie kłaniając się, wykrzyknął:

— A my sem tady, panie [Columbus!

Zwróciłem się więc, dla farsy, do pięknej nieznajomej z kokieteryjnym uśmiechem:

— A może wy mówicie ceski?

Słyszając tak śpiewny język — twarz jej rozpoznała się nieco, a sądząc widocznie, że wielokrotne pytania w różnych językach, wyrażają chęć dowiedzenia się, skąd zacz ona przyjechała — odrzekła:

— Mexico — (wymówiła Mehiko)

— Zdechł pies! — pomyślałem.

Lody zostały przełamane, ale jak tu prowadzić rozmowę?

Zacząłem urywanymi, włoskimi wyrazami, jako najwięcej zbliżonymi do hiszpańskiego, dopomagając ruchem obu rąk, z odpowiednim wyrazem twarzy — przyjemną rozmowę.

Meksykance widocznie się to podobalo, gdyż zarzuciła mnie potokiem słów, robiąc miły wyraz twarzy — ale pytowała tak prędko, że ani jednego słowa nie zrozumiał. Mówiłem więc:

Pas si vite, Slowly, Lentel lente, i ręką miarowo sygnalizowałem.

Zrozumiała, uśmiechnęła się i mówiła bardzo wolno, tak, że już dziecięte przez dwudzieste, zacząłem rozumieć.

Wyszliśmy razem. Przed kioskiem uważałem za stosowne przedstawić się. Podałem jej francuski bilet wizytowy, który sylabizowała; powtórzyła z zadowoleniem „indży-

niero“ i wskazała paluszkami na moje nazwisko, robiąc pytający gest.

— Pollaco! — odrzekłem.

— Pollaco? — powtórzyła z przyjemnym zdziwieniem i podała mi swój mały bilecik, na którym wyczytałem: Miguela, Dora, Ysadora Balvanera — Mejico.

Szliśmy razem. Zobaczyłem stragan z kwiatami; kupiłem pęk przepięknych storczyków i podałem towarzysze, która mi na migi pokazała, że za duży, ale mnie to nie zraziło. Spostrzegłem jeszcze dwie oryginalne odmiany i dołożyłem do wiązanki. Poczem zrobiła mi jakąś propozycję, a ponieważ wymówiła Michigan i wskazała ręką w stronę jeziora, domyślałem się, że proponuje, abyśmy poszli na brzeg. Uśmiechnąłem się i rzekłem: bene, co miało oznaczać niby po hiszpańsku zgodę.

Zeszliśmy nad brzeg jeziora, które było o kilkadziesiąt kroków. Meksykanka, zaczęła coś pośpiesznie opowiadać, początkowo wskazując parasolką, a następnie podrzucając jej końcem małe rybki, leżące na kamuszkach nad jeziorem i wysuszone na słońcu. Z potoku słów i gestykulacji, rozumiałem, że signora Miguela gniewa się i opowiada o niesprawiedliwości natury, zabijającej swoje twory.

— Patrz pan — patrz — mówiła.

Zacząłem się przyglądać i widziałem, jak fale jeziora uderzywszy na brzeg, powracały, zostawiając na żwirze żywe rybki, które długo się trzepotały. Następna fala, rzadko kiedy spłókała i zabrała je napowrót; wyrzucone, przeważnie snęły.

Fale jeziora z wielką siłą wpadają na brzegi, tak, że leżące kamuszki gwałtownie poruszane, szlifują się, przybierając formy do pewnego stopnia kuliste. (c. d. n.)



BOHATERSKI STOLARZ — ARTYSTA



owstanie styczniowe, owa wielka tragedia narodu, miała swój prolog, swój wstęp — długi, a wspinały — dwuletni okres demonstracyjny... I on był wielokrotnie krwawym, i on był przepełniony ofiarami, i podczas niego nie mało

krwi przelano, i nie mało poświęceń zaznaczyło tę dobę obudzenia się narodu, obudzenia się równie niespodziewanego, jak powszechnego. I w tym prologu, jak później w dobie walk, stan średni górował. Do głębi poruszone różnorodnie żywioły narodu wyrzuciły na pole działania wszystkie warstwy; lecz nieufornowany jeszcze

stan średni wybija się głównie na czoło, rwie się do czynu; krwią zapisuje na karcie dziejowej swe narodziny.

Najwyraźniej krwią i poświęceniem zapisały wejście swe do dziedziny życia obywatelskiego warstwy drobnego mieszczaństwa, warstwy rzemieślnicze, rękodzielnicze ówczesnej Warszawy, i za jej

przykładem i innych miast, miasteczek tak zwanej Kongresówki... W pochodach wielkich manifestacji, jak później w szeregach walk styczniowych, mieszkańcy „starego miasta” Warszawy tłumnie się spotykają. Dłonie ich młodzieży od hebla i piły, od igły i szydła, chwytając za oręż, lub idąc na śmierć bez oręża, złożyły dowody swego wielokrotnie bezbrzeżnego poświęcenia swego zaiste, bohaterstwa. Czynili to ze spokojem, bez rozgłosu. Spełniali obowiązek wobec ziemi ojczystej..

Ilu młodzieniaszków z tych ciemnych, wąskich przecznicy staromiejskiej dzielnicy w Warszawie — z owego Bugaju, Rybaków, Piekarskiej, Rycerskiej, wyspało się i już nigdy nie wróciło pod dach rodzinny? Któż to obliczy?... Ile uzdolnień wyższych, będących jeszcze w zawiązku, śmierć wydarła społeczeństwu, ile tych zawiązków talentów prawdziwych, które mogły się stać chlubą narodu, poszło na marne, pod naciskiem nędzy, niedoli wygnania, przedwcześnie padło w dalekich pułstyniach?

Nikt strat tych nie obliczył bo nie są one do obliczenia..

Tradycja zamilkła. Pamięć o nich zaginęła..

Schylamy się ku głębinom mogił na przestworzach Syberji, aby usłyszeć bodaj słabe echa wspomnień i wydrzeć zapomnieniu jedno chociaż istnienie młodzieńca — rzemieślnika, o artystycznym poczuciu, młodzieńca gorących uczuć patriotycznych, wysoce ceniącego cześć ojczyzny, której to czci gotów był zawsze bronić, chociażby z narażeniem życia.. I los chciał, by życie to poświęcił w obronie owej czci.

Był nim Ignacy Eichmiller, młodzieńca, zaledwie z lat pachołących wyrastający, siedemnastoletni (w r. 1861) czeladnik stolarski; marzył o dalszem kształceniu się w swem rzemiośle; marzył o snycerstwie i instyktownie szukał dla swej twórczości wzorów wśród gmachów „starego miasta.” Gotycko-angielskie oblicze katedry w ul. Świętojańskiej przykuwało wielokrotnie jego wzrok, marzył, by kiedy zdołał wytworzyć taki ołtarz snycerka robotą, jakim był ten fronton świątyni... Poczucie artystyczne, szybko urastające, rojenia o wytworzeniu pracy, przerastającej zwykłe, stolarskie — nie opuszczały go. Odbijały się w marzycielskim wyrazie łagodnych błękitnych oczu, wpatrzonych w dal, jakby szukających rozwiązania zagadnień przyszłości..

Niektórzy utrzymywali, że w tych rysach sympatycznych, otoczonych ciemnym, bujnym włosem, jest pewne podobieństwo do Kościuszki. I rzeczywiście, w późniejszych latach, gdy go widywałem na Syberji, uderzało podobieństwo do tego typu oblicza Kościuszkowskiego, jaki nam zostawił Stachowicz w swym obrazie przysięgi Kościuszki na rynku Krakowskim.

Młodziutkiego Eichmiller — jak tysiące innych z pokoleń ówczesnych — porwał, uniósł prąd, budzący nasze społeczeństwo do skręcenia więzów niewoli. Brał on udział w licznych manifestacjach patriotycznych, i wraz z kilku innymi rówieśnikami został przez władzę rosyjskie ujęty i skazany na żołnierkę w głębi Rosji..

Taki wyrok był zwiastunem zła — mania całego życia, zważywszy, iż ówczesny żołnierz rosyjski musiał w najopłakańszych warunkach przebyć w wojsku lat dwadzieścia.

Odziany w płaszcz żołnierza moskiewskiego, młodzieńca Eichmiller, wraz z kilku towarzyszami niedoli przybył do Kazania, gdzie konsystował sztab oddziału wojsk, do których ich wcielono.

Tam polecono im złożyć przysięgę żołnierską — o d m ó w i li... W myśli naszej — rzekła ta młodzieź, a na jej czele Eichmiller — złożyliśmy przysięgę ojczyźnie naszej, iż ją z więzów wyzwolimy... wrogom jej przysięgać nie możemy... Nastąpiło oczywiście ponowne więzienie, ponowny sąd i skazanie.

Ign. Eichmiller, jako nieletni, nie został skazany do katorgi, lecz na osiedlenie do wschodniej Syberji. W Irkucku go zatrzymano, gdyż potrzebowano rzemieślników, a w nim spostrzeżono rzemieślnika o niezwykłych zdolnościach i umiejętności, o jakiej Irkuck ówczesny nie miał pojęcia.



Tam więc osiedlił się i po paru latach, gdy z Polski po powstaniu styczniowym, zaczęły nowe fale wygnańców napływać, założył warsztat własny, w którym wyłącznie Polacy pracowali. On im przewodniczył. Z biegiem czasu poczucie artystyczne coraz silniej się w nim rozwijało. Współwyznawiec, budowniczy, Walery Kulikowski, zwrócił nań uwagę i, posiadając ilustracje cudzoziemskie, dostarczał mu wzorów do robót snycerskich. Pracą, wytrwałością samouka, doszedł Eichmiller do znacznych rezultatów. Najcenniejszym jego pracy i talentu okazem był wyrzeźbiony ołtarz do kościołka w Irkucku.

Wzór zaczerpnął z jakiejś ilustracji niemieckiej.

Tą pracą snycerską większych rozmiarów dał dowód niepospolitego talentu, zważywszy, że jej dokonał bez wszelkich ułatwień technicznych, jedynie dłotem i piłą stolarską. Było to w swoim rodzaju arcydzieło, owoc niezrównanej cierpliwości, pracy, przy rozwijającym się coraz bardziej artystycznym uzdolnieniu... Tygodnik Ilustrowany w Warszawie reprodukował z fotografii podobiznę tego ołtarza.

Wszyscy, co znali młodego artystę, rokowali mu świetną przyszłość: widziano w nim bowiem, obok uzdolnień, niezwykłą energję, pracę wytrwałą i zamiłowanie zawodu.

W pożyciu z ludźmi był towarzyski, uczynny, poważny. Przewodniczył swemu zakładowi — złożonemu wyłącznie z Polaków — lecz ów kierownik był cichym, skromnym pracownikiem... Takim go widziano w chwili, gdy niespodzianie życie to szlachetne zostało zniszczone dłonią barbarzyńską.

W chwili największego rozwoju tej polskiej firmy stolarskiej, przybył z Rosji do Irkucka, na stanowisko generał-gubernatora wschodniej Syberji, generał Sinelnikow, człowiek stary, usposobień brutalnych, uczeń niegdyś i naśladowca osławionego Arakczejewa, którego despotyzm, grubiańskie obchodzenie się z ludźmi, przez życie całe miał za wzór dla siebie.

Na początku powstania styczniowego gen. Sinelnikow zetknął się przypadkiem z powstańcami. Będąc wówczas na stanowisku generał-intendenta wiozł znaczne sumy z Brześcia do Warszawy. W Białej Podlaskiej spotkał oddział powstańczy pod wodzą Rogińskiego. Zatrzymano go, rewidowano, ale gdy oświadczył, że pieniądze są jego prywatną włas-

nością, nie tknięto tych sum i puszczono go wolno. Ta przygoda, która, dlań tak pomyślnie zakończyła się, wcale nie wpłynęła na jego usposobienie w stosunku do Polaków, na których zawsze zapatrywał się jako na niższy rodzaj ludzki, a na skazańców politycznych, jako na stworzenia, niegodne miana człowieka...

Burzenie domów w miastach, gdzie dawniej bywał gubernatorem, przebudowywanie, wznoszenie teatrów, było jego namiętnością. I w Irkucku postanowił wznieść teatr. Osobiste dopilnowywanie robót, wchodzenie w różne drobiazgi, kierowanie pracą budowniczą i dekoracyjną pięścią i laską stanowiły ulubioną zabawę i jedyne zajęcie tego satrapy, któremu powierzono rządy połowy lądu północnej Azji. Ignorancja jego tak wielką była, że kraj tak zwany „Usuryjski“ (nad rzeką „Usuri“ i pobrzeżem oceanu Spokojnego) powierzony jego rządowi, w którym oczywiście nigdy nie był, nazywał Asyryją i jego mieszkańców Asyryjczykami i nie pozwalał na żadną w tej kwestji opozycję.

Do prac stolarskich i dekoracyjnych w teatrze irkuckim wezwano zakład Eichmillera. Z wielką niechęcią przyjęto to wezwanie, wiedząc, iż mieć będą do czynienia z brutalnym, nieustannym kontrolerem, dozorcą wszelkich robót, jakim był generał-gubernator. Wymówić się jednak od tego zajęcia było niepodobnem. Na wszelką opozycję odpowiadał kijem...

W krótko przewidywania ziściły się.

Wpadł raz wielkorządca Sinelnikow do pracujących nad dekoracją łóż w teatrze i zaczął robić niestosowne uwagi. Eichmiller, przewodniczący robotom, tłumaczył i objaśniał potrzebę tych lub innych zarządzeń; lecz despotyczny satrapa, nieprzyzwyczajony, by mu coś objaśniano, bodaj w formie najbardziej unizonej, unosił się coraz mocniej, skierowując całą swą mowę do ogółu polskiego; i, wreszcie, tubalnym głosem zawołał: „wy Polacy jesteście lotryzłodziejce, wasz naród jest hańbą świata“...

Nie dokończył. Zabrzmiał bowiem spokojny głos Eichmillera: „Nie waż się znieważać Polski“...

Słowom towarzyszył policzek...

Przerażenie bezbrzeżne ogarnęło otoczenie spoliczkowanego generał-gubernatora... Porwano Eichmillera, związano, wtrącono do

więzienia. Z rozkazu wielkorządcy został wyznaczony sąd wojskowy, który miał się zebrać nazajutrz, o godz. 10.

Sąd, ten, jak zwykle w Rosji w podobnych sprawach, był komedią. Odbył się jedynie, jak sami Rosjanie określali — dla przyzwoitości, (dla priliiczija), by wskazać, iż w Rosji wszystko się dzieje na podstawie prawnej. Jeszcze sąd nie otworzył swych posiedzeń, a już nazajutrz od świtu, kopano za miastem dół, który miał być grobem Eichmillera, kopano mozolnie, ziemia była zamarzłą, działo się to bowiem w listopadzie... A co jest rzeczą najbardziej zadziwiającą — i zapewne dla psychologów trudną do wytłumaczenia, iż sam generał-gubernator przyjechał na plac przyszłej kaźni, aby się przekonać, czy dół mogiłny dość głęboki... Dawał rozkazy do pogłębiania...

Co te dzikie dusze, ciemne umysły potworów — tyranów parło do takich czynów jak owego Sinelnikowa generał-gubernatora, aby udawać się na plac stracenia, dla dopilnowywania pogłębienia grobu — dziś jest dla nas zagadką, na którą nie posiadamy odpowiedzi.

Iluż wszakże takich bezmyślnych tyranów Rosja wydała dla Polski, ilu i dziś gotowa wydać dla zburzenia cywilizacji Zachodu?

Że wyrok na Eichmillera był już z góry przesądzony, istniały i inne dowody, nietylko owo kopanie przedwczesne mogiły.

Sąd — jak powiedzieliśmy — odbywał się tylko „dla przyzwoitości“, jak wyrażano się w kołach rosyjskich — dla okazania, że Rosja jest krajem prawa i sprawiedliwości.

Nie potrzebujemy dodawać, iż wyrok głosił rozstrzelanie... W motywach wyroku nie zanedbano dodać, iż jako człowiek, marzący o Polsce, był już oddawna godzien stracenia. Eichmiller szedł na śmierć ze spokojem. Wszakże mógł się z nią spotkać na placu Zamkowym w Warszawie, w pamiętnym dniu 8 kwietnia 1861 r., gdy masakrowała Moskwa wielką demonstrację patriotyczną, gdy go wówczas ujęto. Los mu wtedy życie przedłużył na lat kilkanaście, ale było to życie niedoii, osładza-

*) Najcelniejsza z prac Ignacego Eichmillera, ołtarz w kościółku katolickim w Irkucku spłonęła, podczas olbrzymiego pożaru, który zniszczył znaczną część miasta, w r. 1879.

ne jedynie marzeniem o wytworzeniu czegoś bardziej artystycznego na polu swego zawodu, marzeniem o powrocie do ojczyzny... Tracono go w jesieni 1872 r.

Towarzyszył skazańcowi na pole kaźni pies, niezmiernie doń przywiązany; stanął nawet z nim u słupa tracenia... pełzał u jego nóg... A gdy zagrzmiały wystrzały i napół żywy młodzian został wrzucony do mogiły, i grób zasypano — pies legł z żalobnym jękiem na miejscu, gdzie zwłoki spoczyły... i już nie powstał. Życiem przypłacił zgon przyjaciela.*)

Ilekroć myśl moja biegnie ku Syberji i zatrzymuje się na licznych mogiłnikach ziomeków naszych, nigdy nie omija niczem nieoznaczonej, zatraconej w pamięci ludzkiej mogiły owego dziecięcia staromiejskiej dzielnicy Warszawy, obrońcy czci narodu.

Marjan Dubiecki



SŁUSZNY ZWYCZAJ

Czytamy w piśmie kobiecym szwajcarskim „Schweizer Frauenblatt“ o prawie zwyczajowym, które od dość dawna już weszło w użytek w krajach skandynawskich. Oto mianowicie, gdy zachodzi potrzeba budowy nowego domu, władze municipalne danego miasta wzywają na posiedzenie, rozpatrujące tę sprawę, delegatkę od stowarzyszeń kobiecych w charakterze nieoficjalnego doradcy, wychodząc z założenia, że w sprawach mieszkaniowych kobieta, jako praktyczna gospodyni domu, powinna mieć także prawo zabrania głosu.

PALESTYŃSKIE AMAZONKI

„Wiadomości Żenata“ podaje pod tym tytułem wiadomość o oddziałach kobiecych, tworzących się na terytorjum palestyńskim, których zadaniem ma być walka z handlem żywym towarem w szczególności zaś — obrona nieletnich dziewczynek, porywanych przez handlarzy (przeważnie Arabów) i sprzedawanych następnie do haremów. Kradzieże takie są zwłaszcza bardzo częste w krajach

o ludności mieszanej, gdyż Arabowie chętniej porywają dziewczęta pochodzenia obcego, niż muzułmanki. Z tego też powodu Palestyna stała się dla nich ulubionym terenem, dostarczającym „białych niewolnic” do krajów muzułmańskich.

W celu walki z tymi rozbójnikami powstały specjalne oddziały ochronne kobiece, których personel, odpowiednio wyszkolony i uzbrojony, stacza nieraz formalne bitwy w obronie porywanych ofiar. Członkinie tych oddziałów noszą poetyczną nazwę „oblubienic śmierci”.

OŚWIADCZYNY W OBŁOKACH

Oświadczyny w podróży były z dawien dawna zjawiskiem popularnym wśród zakochanych wszystkich epok i krajów. Zmienia się tylko otoczenie i... rodzaje wehikułu, noszącego w przestrzeń tych dwoje, których serca biją jednym tętnem! Po staroświeckim „dylizansie”, tak drogim sercu romantyków, po bardziej już współczesnym przedziale wagonu kolejowego i modnym jeszcze do niedawna eleganckim „aucie” — nadeszła kolej na samoloty!

Zupełnie słusznie. Bo czyż nie jest największą rozkoszą wzbic się z kochanką aż pod obłoki i tam zdala od wszystkiego, co poziome i przyziemne, wyznać jej potęgę swego uczucia?

Podobna scena miała miejsce w Szwajcarii, gdzie młoda absolwentka szkoły lotniczej, panna Paula Rudolf, wybrała się na wycieczkę podobloczną razem z jednym ze swych adoratorów. Zachwycony jej zręcznością w kierowaniu skomplikowanym aparatem, młodzieniec nie mógł już dłużej zamilczeć o uczuciach, które spełniały jego serce. Wyznał jej tedy swą miłość, a ponieważ okazało się, że młoda lotniczka żywi ku niemu te same uczucia, szczęśliwa młoda para wylądowała po pomyślnie odbytej podróży napowietrznej już jako para narzeczonych.

CZY KOBIETA JEST „OSOBA?”

Ministerjum sprawiedliwości w Kanadzie ma obecnie dość trudne zadanie do rozwiązania: chodzi mianowicie o to, czy kobieta jest „osobą?” Zagadnienie to wynikło z powodu złożenia przez niejaką panią Hey, wdowę po kapitanie marynarki, podania do władz z prośbą o zezwolenie jej na objęcie po zgonie męża zajmowanego

przez niego stanowiska kapitana statku. P. Hey motywuje swą prośbę tem, że w przeciągu lat kilkunastu nie rozstawała się ze swym mężem, odbywając wspólnie z nim wszystkie podróże morskie i pomagając mu w jego pracy, jest więc dokładnie obznajomiona z jej techniką i prosi o dopuszczenie jej do egzaminu na kapitana okrętu.

Tymczasem ustawa odnośna powiada, że „każda osoba, która zda pomyślnie egzamin na kapitana okrętu, może zająć to stanowisko, i t. d.” Chodzi zatem o rozstrzygnięcie kwestji: czy określenie „osoba” można rozciągnąć także i na kobietę?

Rozważania w tej sprawie ciągną się już podobno od dłuższego czasu, dotychczas jednak kwestji tej nie zdołano rozstrzygnąć. Z. B.

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I SPORT

O ZAWODACH SZKOLNYCH.

W ostatnich latach przyjął się u nas zwyczaj urządzania corocznego zawodów szkolnych.

W program tych zawodów dla szkół średnich wchodzić ćwiczenia gimnastyczne, lekka atletyka i gry sportowe.

Ćwiczenia gimnastyczne, a raczej taki pokaz ma jakoby przedstawiać zwykłą, codzienną lekcję gimnastyki, której planu, z góry przygotowanego, uczniowie czy uczennice wyuczają się na pamięć, a więc muszą przez dłuższy szereg lekcji przerabiać ciągle te nowe ćwiczenia. Jest to ujemną stroną pokazu, któremu można zarzucić i inne rzeczy. Przedewszystkiem racjonalną lekcję trudno jest ułożyć zupełnie bez przyrządów. Ćwiczenia więc, wykonywane w zwykłych warunkach na przyrządach, zastępować trzeba ćwiczeniami wolnymi, bo nie można robić na boisku np. zwisów lub skoków przez kozioł i t. p., przez co lekcja staje się mało urozmaiconą i nudną. Pokaz taki staje się przez to zbliżony raczej do pokazu wolnych ćwiczeń sokolich, niż do lekcji szkolnej.

U Sokolów jednak ćwiczenia te nie bywają tak różnorodne jak w lekcji szwedzkiej, są ułożone w pewne grupy, tak, że przedstawiają dla oka widza jednolity, piękny obraz zwykle wykonywany w takt muzyki, co nie może mieć miejsca przy lekcji szkolnej, gdzie w 45 minut trzeba wykonać kilkanaście najprzeróżniejszych ćwiczeń,

wprowadzających w ruch wszystkie grupy mięśniowe na przemian. Ćwiczenia sokołe tem wywołują wrażenie piękna i siły, że ćwiczący są tu niesłychanie zgrani, tworzą idealnie rozstawione kolumny i t. p.

To dla szkół zdaniem mojem jest nie do osiągnięcia i nie należy wcale do tego dążyć.

Przy dwóch godzinach gimnastyki tygodniowo, wobec nierównego poziomu uczennic w klasie, nie można bez szkody dla klasy przygotować podobnego popisu. Musi się niektórych, mniej wyćwiczonych i za słabych uczniów wykluczyć, przez co przez szereg lekcji udziału w ćwiczeniach nie biorą.

Pozostawienie tych samych ćwiczeń przez czas dłuższy wogóle nudzi i męczy dzieci, a szczególnie przykrem jest dla nich wyuczenie się ćwiczeń na pamięć. Dla pokazu zaniedbuje się inne ćwiczenia ze szkodą dla wszechstronnego rozwoju dzieci, nuży się je i zniechęca.

Zadna szkoła prawie nie może dać tyle godzin pozaszkolnych na przygotowanie wybranej grupy uczniów, żeby próby te odbywały się bez pośpiechu i bez urywania zwykłych lekcji.

Poszczególne klasy różnych szkół nie mogą prawie schodzić się razem ze względu na czas i miejsce, skutkiem czego jednolitość wyćwiczania oraz rozstawienie (równanie i krycie) stale mocno szwankują, a przez to nie może być mowy o ładnej całości.

Pokaz taki nie jest bynajmniej odzwierciedleniem prawdziwym zwykłej lekcji szkolnej, ani nie daje pojęcia o pracy całorocznej, nie będąc równocześnie tem, co pokaz sokoli.

Jeśliby się chciało wiedzieć, co naprawdę dana szkoła czy klasa umie, a nie chodziłoby o efekt dla publiczności, trzeba by wziąć do ćwiczeń całą klasę i poprowadzić lekcję nie przygotowaną z góry.

Każda szkoła musiałaby przeprowadzać lekcję taką oddzielnie, choćby nawet równocześnie na jednym boisku, jeśli już chodzi o to, by urządzać popisy zbiorowo i uroczystie.

Co do lekkiej atletyki to również uważam urządzenie zawodów w istniejącej formie za nieodpowiednie.

To że dana szkoła znajdzie 3 lub 5 uczniów sportsmenów, obdarzonych wrodzonymi zdolnościami lub też trenujących w klubach poza szkołą, nie jest świa-

dectwem pracy ani dla nauczyciela ani dla klasy; pomijam już zasadnicze pytanie, czy wogóle żądanie od uczeni dużych wyczynów lekkoatletycznych jest wskazane.

Ambicja ich szczególnie na zawodach międzyszkolnych wobec nieznanych przeciwników zmusza ich często do wysiłków nadmiernych, szkodliwych dla zdrowia, nie uwieńczonych przytem często żadnem zwycięstwem.

Wzorując się choćby na fińskim systemie odznak (o którym pisałam w ostatnich numerach), możnaby inaczej zupełnie zorganizować zawody lekkoatletyczne. Oznaczyć mianowicie pewną normę wysokości czy długości skoku, szybkości biegu i t. p. dla każdej klasy i dążyć do tego, by największy procent uczeni normę tę osiągnął i to we wszystkich kierunkach, a więc nie tylko jedna uczennica biega, nie mając pojęcia o rzutach, druga tylko skacze i nic więcej. Zasadą powinien być wielobój. Nauczyciel, sprawdzwszy w szkole, który z uczeni może w nim wziąć udział, wszystkich mogących zadość uczynić przepisanej normie przedstawia do wieloboju. Taki sposób jedynie mógłby podnieść poziom całej klasy.

To samo co do sportów. Na przykład pływanie, tak niezbędne i tak bardzo pożądane dla młodzieży, nie powinno być na zawodach traktowane jako wyścig na szybkość, lecz powinno być wykazaniem możliwości swobodnego i poprawnego przepłynięcia oznaczonej odległości znowu przez jak największą liczbę uczeni w klasie.

Jeśli chodzi o gry to praktykowane są rozgrywki poprzednie między poszczególnymi drużynami szkolnymi i tylko drużyny zwycięskie wchodzi do gry na zawodach. Temu systemowi nie można nic zarzucić. Uderza natomiast w szkołach naszych szczególnie żeńskich ogromna monotonia. Widuje się głównie piłkę latalącą i to graną dość marnie.

Tak znakomite gry jak piłka koszykowa, graniczna, „podaj dalej“ i inne spotyka się bardzo rzadko.

Przy pokazach publicznych stała kwestję sporną i nader drażliwie traktowaną przez rodziców, a czasem nawet przez same uczennice stanowi sprawa ubrania.

Wiele szkół nie pozwala występować dziewczętom w kostjumach gimnastycznych czyli majteczkach, koszulkach trykotowych lub innych swobodnych bluzkach i pantoflach. Każdy mający choćby najslabsze pojęcie o gimnastyce, zrozumie od-

razu, że gimnastykować się w spódnicy, co zdarza się często, i w bucikach z obcasami, jest zupełną niemożliwością.

Dziewczeta, które ćwiczą tak ubrane, fatalnie się wyróżniają, przydeptują sobie spódniczki i zamiatają niemi ziemię przy skłonach, przysiadach i podporach, chwieją się na obcasach przy każdym kroku.

Zasadniczo zawody czy to ogólne międzyszkolne, czy między kilkoma szkołami lub choćby klasami jednej szkoły są nadzwyczaj pożądane. One jedne mogą wzbudzić zainteresowanie i podniecić ambicję sportową, której tak bardzo brak dziewczętom.

Nauczycielom dają możliwość porównania ich uczeni z innymi uczeniami, rodzicom zapoznania się ze sposobem prowadzenia ćwiczeń fizycznych i przekonania się o ich znaczeniu.

Za bardzo pożądany czynnik wychowawczy uważałabym także wprowadzenie zawodów mieszanych między dziewczętami a chłopcami.

Dziewczynki mogłyby zyskać przez to na werwie i zapale do gry i sportu, chłopcy nauczyliby się zachowywać spokojniej i kulturalniej.

Zetknięcie się zaś towarzyskie uczeni i uczenic na polu sportu byłoby znacznie właściwsze i bardziej odpowiednie, niż spotkanie się ich na wieczorkach tańczących, jak to ma miejsce w wielu domach i szkołach.

Dałoby to obustronną możliwość zapoznania się i oswojenia z mieszanem towarzystwem, z którym przecież zetknąć się mają, czy to w wyższych uczelniach, czy w biurach lub przy innych zawodach, bez podłoża jednak flirtów i wyszukanych strojów.

I. F.

NASZE OGRÓDKI

(Westchnienia warszawianki)

Gdzie one są — w Warszawie lub w okolicach Warszawy? — pytałam się smutno zdziwiona po przeczytaniu artykułu w numerze 14 „Bluszczu.“ Zrozumiałam dopiero, dowiedziawszy się redakcyjnej „tajemnicy:“ artykuł pochodził z Poznania. Rozumiem! Mógł pochodzić także z Bydgoszczy, lub z innego jakiego innego miejsca, gdzie — (niestety, niestety!) Niemcy nauczyli pięknej teorii:

„Typ nowoczesnych domków mieszkalnych nie umie obejść się bez skrawka ziemi pod założenie najskromniejszego bodaj ogródka...“

i pięknej praktyki, że można na tym skraweczku ziemi posadzić:

„...kilka srebrnych świerków, rabaty, obrzeżone mahonią, bukszpany strzyżone... fiołki, wsiane w trawniki... obwódkę narcyzów, wczesnym, rośnym rankiem jakże cudowną...“

O marzeniu!

Chodzę ulicami Warszawy, chodzę po jej przedmieściach, wyjeżdżam w podmiejskie miejscowości... już po raz szósty śmieje się wiosna, ale ani razu jeszcze nie usmiechnęły mi się kwiatki — w ogródku!

Bo nie można przecież brać pod uwagę zakładów ogrodniczych ani wielkopańskich parków.

(I tym należałoby się słowo wyrzutu. Przypomnę zachwaszczony trawnik przed pałacem Wilanowskim i posępne, do jakichś cmentarzyków podobne ogródki przed pałacami i Alejach Ujazdowskich)

Myszę o ogródku, uciesze skromnych, pracujących ludzi.

Nie widzę go.

Może zakładają się one na Żoliborzu (wojskowym — bo urzędniczy to smutne, polowe koszary) może na kolonji Staszycy, ale to dopiero muzyka przyszłości.

Mówiło się dawniej: wojna! bieda! Warszawianka obchodziła się bez ciastek, cóż dopiero kwiaty!..

Dziś ma w bród ciastek, pomarańcz i kwiatów na straganie: bezcennie drogich i bezgranicznie smutnych, zwiędłe mimozy, drżące z zimna i naperfumowane fiołki.

Poza tem ma przecież sztuczne kwiaty, ogromne, och jak brzydkie! kamelje wpięte w klapy płaszcza. Moda.



Kiedy przyjdzie moda na kwiaty „ze swego ogródka?”

Zdawało się, że stworzy taką modę pokolenie nowe, te najmil-sze „ogrodniczki,” które wzięły tak dzielnie za motykę, jak w chwili niebezpieczeństwa, za karabin.

Gdzie one są? Może wsiąkły w prowincje, może stamtąd odezwą się do nas, biednych mieszczuchów. Ale dotąd nie widać owoców ich sadów, jarzyn ich grządek, kwiatów ich klombów!

W kwaciarniach przeraźliwe ceny, towar zbytorny.

„Kwiaty — są dla kokotek,” — mówi otwarcie sprzedająca.

Kiedy będą tanie kwiaty dla porządných ludzi?

Kiedy rozpaczliwie smutne ugo-ry przedmieść Warszawy zmieniają się w uprawne zagony i architekci zaczną budować domki „nowoczesne” ze skrawkiem ogródka i przechodzień będzie podziwiał tak jak w Bydgoszczy i jak we Lwowie n. p. na ulicy Tarnowskiego:

Tu piwonje, tu słoneczniki, tu dalej a tam domek z glicynją, a tam różami białemiokryty, tam dąb czerwolistny, a tam klon opstrym liściu. Sąsiad rywalizuje z sąsiadem woń łączy się z wonią. Wesoło iść tą ulicą nawet nieznanemu przechodniowi...

Przejdź się przechodniu, chcący cieszyć się wiosną, w stronę Wilanowa, Woli, Powązek, lepiej nie mówić, jaką napoisz się wonią.

Tam nawet, gdzie resztki dalekiej przeszłości, królewskie wznoszą się drzewa, wpadniesz w melancholję, jeśliś jest drzew miłośnikiem, ujrzawszy żalony, rozpaczliwy, ze skóry odarty picń uschłej, olbrzymiej topoli od pięciu lat już sterczącej na drodze królewskiej obok Marcelina.

W jakim kraju zniesionoby podobny widok?

Powiedzmy sobie pocichu gorzką prawdę: Nie kocha się u nas ani kwiatów, ani drzew, nie czuje się ich potrzeby.

Bo czego się pragnie, co się kocha, to się z czasem i osiąga.

Czego się nie chce gorąco, to nazywa się zbytorny i obywa bez tego.

Mówi się, że gleba tu zła i hodowli nie sprzyja. Mój Boże, widziałam Szwajcarki i maleńkie ich dzieci znoszące nawóz z ulicy (po przejeździe dorożek) dla użyczenia swych maleńkich ogródków.

Tak wyyskują tam każdą piędź ziemi, że sadzą jeszcze pomidory, ogórki wjące się po żerdziach.

(No, ładnieby się wybrał ktoś, liczący w ten sposób na uczciwość przechodniów!).

Widziałam Chorwatki i Włoszki, noszące w koszykach ziemię, by maleńkie grządeczki utworzyć wśród kamieni Karsu.

Nasze przedmiejskie paniusie wołają gawędzić (ordynarnie rzekł-byś: pyskować) „na bramie” adzieciaczki — kraść, gdy coś przypadkiem wyrośnie i zakwitnie u sąsiada.

Nauczyciele, uczcie dzieci miłości dla drzew i kwiatów i architekci twórcie plany ze „skrawkiem ogródka”. Jesteśmy znużeni i smętni, mamy nerwy poszarpane. Tęsknimy do własnego kąta ale obyż ten kąt obejmował i swoją grządkę.

Grządkę kwiatów a choćby — sałaty!

narodom nieuwartościowanych jeszcze bogactw. Przytem „kobieta powinna wdziękiem swoim oddziaływać na brutalność wrogów. Odrobina fatalaszków zdobywa się ustępstwa tam nawet, gdzie najtrudniej o nie.”

Juljusz Bois, gorliwy rzecznik praw kobiety, autor „Ewy Zrehabilitowanej,” „Małżeństwa przyszłości” i innych prac, dążących do rozświetlenia kwestji kobiecej, nie pozwala feministkom odwracać się od mody z tych prostych względów, że do nich należy zapewnienie jej zdrowszego i logiczniejszego kierunku. Zresztą „piękna suknia nigdy nie zaszkodziła pięknej idei.”

B. redaktor „La Revue,” autor niezwykle poczytnej i licznie komentowanej pracy „Problemes des sexes,” p. Jan Finot, tak samo jak Jules Bois gorący, ale nierównie szerszy i rozumniejszy poplecznik sprawy kobiecej, uważa, że zaspakajanie upodobania mody jest doskonałym środkiem zdobywania i nawracania tych kobiet, które jeszcze nie są feministkami, ale przy umiejętnym wpływie mogą niemi zostać.

Emil Faguet, członek Akademii Francuskiej, głośny publicysta, krytyk, estetyk, autor ciekawej książki „La Féminisme,” uważając, że ruch kobiecy jest buntem przeciwko własnym słabościom, dowodzi iż organy jego nietylko mogą, ale powinny mówić o modzie, aby — drogą subtelnej analizy — rozważać ją jako jeden z tych przejawów duszy kobiecej, któremu należą się łagodne lub groźne ostrzeżenia.

„Cywilizację Zachodu dotknęłaby ciężka krzywda” — pisał p. Paweł Bureau, profesor prawa przy wolnym uniwersytecie w Paryżu — „gdyby kobieta na równi z mężczyzną musiała wejść w jarzmo życia ekonomicznego i nie widzieć nic po za niem, staczać się po pochyłości odwiecznych szyfowych wysiłków bez prawa do estetycznych wlotów i porywów. Doktryny feministyczne nie mogą zabraniać kobiecie troski o smak i wykwinną formę stroju. Zwalczać i potępiać należy tylko bezduszny pościg mody. Umiarkowanie i zachowanie pewnej godności w tej, jak i w każdej innej dziedzinie, pociągnąć za sobą może tylko dobre wyniki.”

Oto mniej więcej całokształt odpowiedzi, który upoważnił redakcję „La Française” do wprowadzenia stałej kroniki mody bez nurtującego ją przedtem skrupułu, że obniża poziom pisma.

* * *

Moda...

Gdy w początkach ruchu kobiecego padło jaskrawe, namiętne, nieubłagane hasło „precz z nią!” — przodownice — emancypantki, obciawszy włosy, przywdziały strój prawie męskie — ciemne lub białe kamizelki, kaftany w rodzaju smokingów, krawaty przy stojących kołnierzykach i wąskie, gładkie spódniczki do kostek.



STRZAŁKI

FEMINIZM A MODA

Organ feministek francuskich „La Française” rozesłał niegdyś do wybitnych jednostek świata paryskiego pytania w sprawie stosunku feminizmu do mody.

Odpowiedzi wypadły ciekawie.

P. Izabela Bogelot, honorowa przewodnicząca Rady Narodowej kobiet, zaznaczywszy, że jej samej brak było zawsze „zmysłu mody,” stwierdza, iż strój kobiecy jest sprawą niezmiernie ważną, zaprzęga bowiem do roboty armję pracownic świata całego i chroni od śmierci głodowej przynajmniej jedną czwartą proletariuszek. Wzmacnia przytem handel i przemysł, pobudza szybszy obrót kapitałów i przysparza

Obniesione setkami tysięcy karykatur świątecznych, szykanowane, bojkotowane ośmieszane przez dowcipnisiów wszystkich krajów i wszystkich narodów, zniosły hurmę pocisków spokojnie.

Ale... przyszła reakcja.

Feminizm dzisiejszy — bez żadnych z góry narzucanych wskazówek — przywrócił prawa modzie. Widzimy gorliwe orędowniczki praw kobiety, spętane od nóg, w cielistych pończoszkach i lekkich pantofelkach bez względu na deszcz, śnieg i błoto. (Lekarze wykazują niesłychanie wzmożony procent choroby nerek wśród kobiet w porównaniu z dawnymi latami). Widzimy doktorki, prawniczki, starsze referentki państwowych urzędów z obowiązującym dękołtem przy szyi i możliwie krótkimi rękawami — w toczkach z rajarami lub bez rajarów, stosownie do najświeższych żurnali. Nie przeszkadza im to w bystrem rozumowaniu, w dokładnej, ścisłej pracy. Należy tylko podziwiać, skąd starczy im dnia na baczną przestrzeganie uchyleń od wczorajszych, ogólnie przyjętych, a nazajutrz już wyszłych z fasonu fałdek, plisek, naszyć, wykrojów.

Ale — kto nie podlega prawu mody? — Mężczyźni?...

Czyż nie jest wskazane, aby wielcy dyplomaci, sekretarze i podsekretarze stanu, sam prezydent i jego swita byli ubrani jak panowie z kolorowych żurnali? — Muszą znaleźć czas na to.

* * *

Przed wojną ciągnęły wzdłuż ulic Londynu sprawne szyki kobiet, manifestujących żądania równych praw.

Nawet wrogowie zachwycali się estetycznym wyglądem tych „bezkrawych amazonek.“

Sufrażystki i sufrażetki angielskie dążyły niewątpliwie do własnej mody, która oparta na podstawie higieny — hołdowała by bez zastrzeżeń regułom estetyki, urabiając je tak, aby wnosiły sumę nowego piękna w życie.

Kto wie, czy wprowadzone już przez jakiegoś krawca w Paryżu smokingi, długie redingotty i gładkie czarne, mocno obciśnięte spódniczki nie stanowią pierwszego etapu strojów „à la sufrage.“

Triumfowałyby pp. Bogelot, Finot, Faquet, Jules Bois, wróżyć feminizmowi dyrektywę przyszłych ubrań kobiecych.

Gdzie jest jednak prorok, któryby mógł im przepowiedzieć długotrwałość?

Wszak są na świecie nietylko giętkie, wysmukłe trzcinki z obrazów Rossetti'ego lub Burne-Jones'a. Jak wyglądałaby w obcisłym smokingu ta prerafaelityczna figurka, która już po latach 40-tu zaczyna nabierać nieco rubensowskich zaokrągłeń?

Czy prawem materji, zamieniając w tłuszcz krew zdrową, gdy przychodzi wiek pobalzakowski, może rządzić wszechpotężna moda?



„Z Filareckiego Świata“, Zbiór wspomnień z lat 1816—1824, wydał Henryk Mościcki, Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“, Warszawa, 1924, str. 372.

Kto chce poznać epokę i działających w niej ludzi w całej bezpośredniości pulsującego niegdyś życia, musi się zbliżyć do jego źródeł, wysłuchać głosu świadków naocznych. Nie wszystkie fazy zbiorowego bytu jednako społeczeństwo ocenia, nie wszystkie mogą być przedmiotem gorącej miłości każdego czytelnika.

Patryjotyczne i kulturalne ideały młodzieży wileńskiej, rówieśnej Mickiewiczowi, uczyniły z jej towarzystw uniwersyteckich drogowskazy dla przyszłych pokoleń. Dlatego niema chyba dziś w Polsce wśród miłośników piśmiennictwa człowieka, któryby obojętnie minął akta sprawy filareckiej.

Nowa publikacja źródeł w wytwornej szacie zewnętrznej podaje przedruki pism wyczerpanych zawiera nadto 3 nowe, ważne pozycje: „wspomnienia“ Tomasza Zana, pamiętnik Edwarda Massalskiego i dziennik więzienny Franciszka Malewskiego. Książkę poprzedza krótka przedmowa i rozprawa prof. Mościckiego. „Ze stosunków wileńskich w okresie 1816 — 1823“. Każdemu z rozdziałów towarzyszy wyjaśnienie, dotyczące autora pamiętnika i przypisy, ułatwiające rozumienie tekstu. Całość zasma jania wybornie zarówno z programem jak i z nastrojem młodzieży wileńskiej. Pod-

Od Administracji

Celem uniknięcia przerwy w wysyłce pisma i kosztów połączonych z jej wznowieniem, prosimy o rychłe wpłacenie prenumeraty za maj.

nosi harmonję, jaka istniała między twórcami Komisji Edukacyjnej, a młodem pokoleniem, uwydatnia jego związek z ruchem patryjotycznym w Niemczech,

Niejedna myśl, rzucona wówczas i dziś jest aktualna. Pisze np. Ks. Adam Czartoryski w r. 1820 do rektora Malewskiego o potrzebie rozwoju przemysłu i techniki w Polsce. „Tej młodzieży — czytamy w liście — która ze szkół powiatowych po kancelariach i palestrach się rozchodzi, należałoby dać kierunek do handlu, fabryk i rolnictwa“.

Nie lekceważyli i filomaci s'rony praktycznej życia, główne jednak baczenie zwracali na organizację pracy umysłowej. Nie wystarczył im program uniwersytecki. Postawili sobie za cel wszechstronną i gruntowną pracę, której metod dochodzili z praktyki, głosząc zasadę: „nie czytaj wiele, lecz mocno“. Byli gorącymi wielbicielami kultury greckiej. Malewski mniemał: „że ludzi podzielić można na dwa szeregi; na kształconych przez Greków i przez Rzymian. Na tamtych ludzkość więcej zyska“.

Nie cofali się przed trudnymi zagadnieniami. Warto dla przykładu zacytować rozważania więzienny Franciszka Malewskiego nad nędzą ludzką, której dotąd nie zdołał zwalczyć żaden ustrój państwowy ani socjalny: „Cóż jednak najlepszy prawodawca, największy przyjaciel ludzkości zdoła naprzeciw nędzy zastawić? jak dziecię od tej mamki, zły pokarm dającej, oderwać? Dawniej o tem wcale nie myślano. Połowa ilotów lub niewolników ginęła marnie w świecie starożytnym, ani mędrzec, ani rządca głowy sobie nie łamał. W wiekach średnich człowiek mógł się więcej trzymać roli i wreszcie los ubóstwa całkiem przypadł kościołom; dziś sprawa ludzkości stała się sprawą powszechną. Człowiek rzucił się z zapalem do szukania jej przyczyn i sposobów ulgi i z czemże wyszedł z tego labiryntu... Oto.. że do odegnania niedoli albo kultury cofać, albo ludność wstrzymać potrzeba. Któraż z tych prawd więcej dotyka serca, nie są wszystkie równie bolesne“.

Obok tak poważnych i głębokich zagadnień, książka przynosi wiele szczegółów. Iłeż ciekawych uwag o życiu na Litwie w czasie wojen napoleońskich zawierają pamiętniki Massalskiego. Dowiadujemy się z nich o olbrzymich cenach na produkty rolnicze w czasie działania systemu kontynentalnego, o ich nagłym spadku i o wynikłych stąd bankructwach obywateli.

Wejście „wielkiej armji“ na Litwę, rekwizycje i napady maruderów, przechowywanie rannych, nastroje ludności — wszystko przedstawia Massalski poprostu, jako świadek i uczestnik zdarzeń. Będąc uczniem kolegum jezuickiego, zamyślił on wraz z kolegami zbrojną wyprawę do Księstwa Warszawskiego. Chłopcy odnaleźli bowiem w klasztorze skład broni francuskiej. Plan się nie udał, i tylko dzięki wyrozumia-

łości gubernatora Tolstoja złych konsekwencji za sobą nie pociągnął.

Massalski podaje też kilka faktów z okresu więzienia i procesu filomatów, o których wiedział jako więziony za rzekomą obrazę Nowosiłcowa. Chwali przytem dozorcę więzienia, kapitana Paniewskiego, który uwiadomił go o przybyciu do gmachu Tomasza Zana, mimo że obecność jego władze rosyjskie pragnęły utaić. Paniewski był pośrednikiem między więźniami, przynosił listy, dostarczał żywności z miasta.

Nie brak w pamiętniku uwag luźnych o różnych wybitnych osobistościach. O Towiańskim np. czytamy słowa, nacechowane niechęcią i uprzedzeniem. Zwłaszcza teoria metempsychozy, jak też idea wyższego posłannictwa wydawały się Massalskiemu niedorzecznością. O małżeństwie Towiańskiego pisze z zacięciem anegdotalnym.

W podobny sposób przebiega życie Ludwika Szpitznagla — przyjaciela Słowackiego — bez współczucia, z pewnem tylko politowaniem mówiąc o młodym zapaleńcu. Szpitznagel kochał się w p. Aleksandrze Becu i postanowił wyprowadzić ją na królową Polską. A środki do tego ukartował takie: założyć towarzystwo między uczniami, naturalnie rówieśnikami swymi, wszystkim kształcić się jak najusilniej, a szczególnie w matematyce, potem wszystkim wstąpić do służby morskiej, opanować okręt wojenny, opłynąć na nim świat aż do Mandżurji, tam wylądować, ucywilizować Mandżurów, Mongołów, i innych Tatarów, uformować z nich potężną armję, przywrócić Polskę i pannę Aleksandrę Becuwnę koronować na królową polską“.

W przytoczonych ustępach książki widać, jak wielostronnie oświetlają pamiętnikarze współczesne sobie stosunki, jak wnikają w drobiazgi, które ze względu na przedmiot znaczenie mają niemałe. Głębią obserwacji i przeżyć wyróżnia się dziennik więzienny Malewskiego.

Całość interesująca i miła, znajdzie z pewnością serdeczną gościnność w domach polskich.

Z. Szymdłowa.

„Zrodzeni na jednej ziemi“ Powieść Delmar Elżbiety hr. Dębickiej. Wydawnictwo Lectora.

Jak grom pada wieść o zawarciu pokoju między Niemcami, Austrią i Rosją w 1918 r. Dygnitarze miasteczka Lipowa w Małopolsce Wschodniej wysadzeni z siodła. Zamęt nie do opisania.

Czarno-zółty lojalizm walczy z polskim patriotyzmem, który wydobyla na jaw wojna. Prezes T-wa Szkoły Ludowej urządza wiec, protestujący przeciw traktatowi brzeskiemu. Poprzedza go uroczyste nabożeństwo ze wstrząsającym przemówieniem księdza katolickiego. Wiecujący protestują przeciw Austrii, podkreślając, że z Rusinami pragną żyć kłnadal w przypadnej zgo-

dzie. W porywie szału patriotycznego następuje składanie c. k. orderów, aby nazajutrz wycofać się powoli z tego niepewnego przedsięwzięcia. Tchórzostwo góruje nad narodowym odruchem. Młodzież tylko — wieczni rewolucjoniści — nie bacząc na skutki, zrywa z Austrią bez skrupułów. Przekradają się z drogi do Huszty zuchy — legjoniści, którzy nie chcą przysięgać na wierność cesarsko-królewską. Ucieczkę ułatwiają im kolejarze i inni dobrzy ludzie.

Z chaosu zdarzeń, z odmetu małodusznych wahań i połowicznego patriotyzmu wyłania się jednak myśl ogólnonarodowa i obywatelska. Na wiecu w imię samostanowienia co do przynależności państwowej zapada uchwała, aby uznać w całej pełni Radę Regencyjną i żądać jak najprędzej zwołania Sejmu Konstytucyjnego.

Wtedy — podszuczowani przez Niemców — poczynają działać konspiratorzy ukraińscy. Wypływają na jaw ciemne żywioły, którym nasz wróg odwieczny dostarcza broni, pieniędzy, amunicji.

Następuje zamach po zamachu. Najpierw na posterunek żandarmski w imię „Ludowej Rzeczypospolitej Ukraińskiej“, potem na wszystkie inne krajowe i prywatne urzędy. Koledzy Rusini arestują kolegów z jednej ławki szkolnej Polaków i wydają ich w ręce katów — urodzonych zbrodniarzy, którzy w godzinie odmetów zjawiają się tam zawsze, gdzie można dowoli nachleptać się krwi ludzkiej, nagrabić pieniędzy i użyć do syta władzy, tytułów, honorów.

Osiemdziesięciu chłopaczków z sąsiedniej Dąbrówki przychodzi odbić Lipów, ale karabiny maszynowe — dar Niemców — zmiatają ich, jak łan zboża.

Aresztowaniu i rabunkom już niema końca. Dzieci — chłopców, i młode, wypieszczone panienki, i starych zasłużonych ludzi pędzi się etapem po kałużach błota, a gdy padają w omdleniu — odstawia się do więzień krasnogrodzkich, gdzie rozszałała tłuszczka zdziera z nich ubranie, dając w zamian łachy zapowietrzzone. Młodzież skatowaną, obita na śledztwie, wrzuca się, jak jedną bezkształtną masę do lochów więziennych, pełnych kału, krwi, robactwa, gdzie tyfus i czerwonka dziesiątkują jeńców polskich.

Starorusini chodzą jak błędni. Ojciec w 63 r. ukrywał powstańców polskich, a syn arestuje Polaków. Ratuja jak mogą skazańców, umożliwiają tworzenie się komitetów polskich, łagodzą wyroki, uwalniają arestantów na własną odpowiedzialność, przenoszą ciężko chorych z izb smrodliwych do szpitali, utrzymywanych we względnej czystości, gdy co pewien czas zwiedzają je misje zagraniczne.

Ale coraz nieufniej patrzą na nich dygnitarze z rodu fernali, którzy pozując na szyk — zlewają się jockey-clubem i usiłują źle mówić po polsku.

*) Złoczów, wyd. w 1921 r.

**) Wspomnienia z rebelji ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej. Poznań 1925 r.

Kto wie, jaki byłby los tych przyjaciół Polski, gdyby nagle — prawie z godziny na godzinę — nie pojawiły się w Krasnogrodzie szare maciejówki z orzełkami nad daszkiem, a pod nimi radosne, uśmiechnięte twarze polskich junaków.

Wojsko rusińskie uciekło w popłochu, bo jakżeż mogło być inaczej.

Na tysiąc żołnierzy jeden może rozumiał trochę, dlaczego kazano mu walczyć z Polakami. Reszta szła jak stado wołów, pędzone przeznagańcami, wiedząc to tylko, że mieli otrzymać kawał ziemi, dużo pieniędzy i rządzić sami sobą. A gdy nic z tego się nie spełniło, bo pieniądze zabrali przywódcy z rodu fernali, a na podział ziemi czasu nie stało, woleli uciec gromadnie.

* * *

Takie jest tło nagrodzonej na konkursie Lektora powieści hr. Dębickiej, stanowiącej samą przez się cenną monografię dziejową. Oplata się dokoła niej romans pięknej starościanki z synem starorusińskiego księdza, oplatają intrygi jej rywalki, chytrej Rusinki, ale to są rzeczy mniej ważne, wtrącone dla publiczności, która nie wczynałaby się może w osnowę dziejową, gdyby nie urozmaicały jej sceny miłosne.

Dziś już, kiedy mamy takie dokumenty walk rusińskich, jak „Z krwawych dni Złoczowa w 1919 r.“*) i jak „Gontowszczyzna“**) M. J. Wielopolskiej, — możemy z całą pewnością stwierdzić ścisłość i dokładność dziejową opowiadania hr. Dębickiej.

C. W.

Z MUZYKI

ŚPIEW W SZKOŁACH Powszechnych

I.

Łutowy zjazd delegatów rad szkolnych zaznaczył w swej uchwale: „Rozwój szkolnictwa powszechnego jest koniecznym warunkiem utrwalenia bytu i rozwoju potęgi Rzeczypospolitej, wzrostu sił obronnych i wytwórczych państwa.“ Tak samo rozwój muzykalności w szkołach powszechnych jest koniecznym warunkiem, by Polska mogła stać się krajem muzykalnym nie tylko przez kulturę muzyczną kilku ośrodków, przez wybitne jednostki twórcze i odtwórcze, ale przez głębokie umuzykalnienie całego narodu. Taką kulturę muzyczną osiągnęły niektóre inne kraje podczas długiego szeregu lat. Polska zdobyć jej nie mogła wobec niesprzyjających warunków i dopiero kilka lat temu zaczęto myśleć o udostępnieniu śpiewu i muzyki szerszym warstwom społeczeństwa. Rok 1917 — 18 przyniósł obowiązkową naukę śpiewu w szkołach powszechnych podług szczegółowo opracowanego programu. Jednakże w większości wypadków, zwłaszcza na prowincji nauczanie śpiewu poszło drogą całkiem niezależną od programu ministerjalnego i ograniczyło się do nauczania piosenek najprostszym sposobem naśladowania, t. j. nauczyciel pęty grał czy śpiewał, póki

dzieci nie pochwyliły melodji Tego rodzaju nauczanie obok obszernego obowiązującego programu nie może nikogo dziwić jeżeli weźmie się pod uwagę, że nauczycielstwo pod względem muzycznym nie było i nie mogło być gotowe do przeprowadzenia takich zadań. Oprócz tego nieraz sami nauczyciele uważali ogólną naukę śpiewu za rzecz całkiem zbędną; inni nie wierzyli, by można było wyrobić słuchu jednostek, nie mających go jakoby od natury i uważali za wskazane pracować tylko z uzdolnionymi, wykluczając pozostałych z lekcyj śpiewu. Niedawno spotkałem się z faktem dobrego śpiewu chóralnego w jednej ze szkół powszechnych niedaleko Warszawy, (uczył specjalista) przy bliższym jednak zbadaniu sprawy okazało się, że śpiewają tylko dzieci zdolne, o umuzykalnieniu reszty nikt się nie troszczy. Takich faktów jest podobno więcej.

By w ten sposób ujmować naukę śpiewu w szkole, należy chyba mieć wyrobione przekonanie, że słuch wcale się nie rozwija. Tymczasem praktyka wykazuje co innego. W dwóch artykułach o słuchu muzycznym (styczeń r. b.) poruszyłam ogólnie znaczenie słuchu, nie zdążyłam jednak dla braku miejsca, wskazać na realne wyniki pracy nad umuzykalnieniem. Otóż faktem jest, że drogą racjonalnych metod udaje się osiągnąć rezultaty czasem zadziwiające. Nieraz jednostki zupełnie amuzykalne, rozwijają się nie do poznania, jak słuchowo tak i głosowo; (często potrzeba na to bardzo długiego okresu) co więcej zaczynają wykazywać zainteresowanie i zamiłowanie dzieci, początkowo apatyczne lub nawet niechętne.

Takie wyniki dają się uzyskać oczywiście tylko wtedy, gdy nauczyciel jest na wysokości zadania. Podług jednych, śpiewu w szkole może uczyć tylko specjalista, inni uważają, że lepiej spełni to nauczyciel oddziały. Sądzę, że specjalista dobrze poprowadzi śpiew w szkole, jeżeli pracę swoją ujmie nietylko z punktu muzycznego, ale i jako pedagog; zaś istotnie muzyczny nauczyciel oddziały doskonale po-

radzi sobie ze śpiewem, bo mu ułatwi zadanie znajomość duszy dziecka i nabyta przez praktykę szkolną umiejętność trafienia do niej. Ale musi być muzykalny, musi mieć słuch; musi posiadać pewien zasób wiadomości muzycznych i znać drogę przekazania ich. Program śpiewu w seminarjach nauczycielskich jest bardzo obszerny, jednak z rozmaitych powodów niezupełnie może być przeprowadzony, stąd nieraz kończący, choć ma stopień dostateczny z tego przedmiotu, nie daje sobie z nauczaniem go rady. Nie miejsce pisać tu szerzej o tych sprawach, jakkolwiek są one ściśle związane z poprawą śpiewu w szkole powszechnej. Zdaje mi się, że w sferach, od których jest to zależne, zwrócono już pewną uwagę na te rzeczy i w niedalekiej przyszłości zostaną one lepiej zorganizowane.

Ogólnie biorąc, sprawa podniesienia kultury muzycznej w szkole powszechnej zdaje się wchodzić na dobrą drogę. Inspektorat Warszawski powołał od roku fachową instruktorkę śpiewu. Dzięki jej staraniom został zorganizowany pierwszy konkurs solfegia (czytania nut głosem) dla klasy 6 i 7 szkół powszechnych Warszawy. Wezwano do niego 35 szkół. Z tych 17 bardzo dobrze, dobrze i dostatecznie zaśpiewało z nut dany temat, nieznanym przedtem ani dzieciom, ani nauczycielowi. Reszta szkół przedstawiła się słabo. Poza obowiązkowym czytaniem nut, wykonanie pieśni było dowolne. Zgłosiło pieśń 13 szkół, z tych wyróżniły się wybitnie dwie.

Z Warszawy także wyszła w 1924 roku inicjatywa „Święta Pieśni“, odtąd obchodzić się ono będzie corocznie we wszystkich dzielnicach. Uroczystość ta odbywa się w czerwcu w taki sposób. Wszystkie dzieci klas wyższych szkół powszechnych, zgromadzone w kilkudziesięciu największych salach szkolnych, wykonywują w dniu oznaczonym zbiorowo kilka rozmaitych utworów jednogłosowych tylko po jednej wspólnej próbie; do programu święta wchodzi polskie pieśni religijne o dawnej tra-

dycji, pieśni narodowe, ludowe, pieśni Moniuszki i Noskowskiego z cudownego śpiewnika dla dzieci do tekstów Konopnickiej. Poza programem powyższym, każda ze szkół może wykonać dowolną pieśń dwu lub trzy głosową.

Nie mówiąc już o tem, że Święto pieśni jest prawdziwie pięknym i radosnym dniem dla dzieci polskich, ma ono doniosłe znaczenie dla podniesienia poziomu wykonania pieśni w szkole i dla rozpowszechnienia autentycznych melodji i tekstów. Dotąd najbardziej znane i śpiewane pieśni polskie spotykają się w rozmaitych śpiewnikach raz w takiej, raz w innej redakcji i muzyk, który nie może sięgnąć do właściwych źródeł nie wie, której się trzymać. W celu ujednostajnienia melodji i tekstów p. Julja Baranowska-Borowa, instruktorka śpiewu w szkołach powszechnych warszawskich i seminarjach nauczycielskich, zapoczątkowała wydawnictwo „Święto pieśni dzieci polskich“, którego pierwszy zeszyt już wyszedł w jej opracowaniu. Zawiera on 12 pieśni z objaśnieniami, ładnie i starannie wydanych. Książeczka ta przyda się każdemu, kogo obchodzi pieśni polskie i ich pochodzenie a szczególnie potrzebna jest każdemu nauczycielowi szkoły powszechnej na prowincji, by mógł choć zdaleka od stolicy wziąć udział w „święcie pieśni“ wraz ze swymi dziećmi i dać im tę pieśń w autentycznej formie.

Nie można wątpić, że dzięki planowej pracy nauczycielstwa, inicjatywie uzdolnionych jednostek i poparciu państwa, Polska zdobędzie wkońcu tę ogólną kulturę muzyczną, jaka jest gdzieindziej. Już dziś można stwierdzić pewne dodatnie wyniki fachowej kontroli śpiewu w szkołach i konkursów, podniecających ogromnie jak działalność nauczycielstwa, tak i zainteresowanie uczeni.

Kończąc, muszę wyrazić wielką wdzięczność p. Baranowskiej-Borowej za wszystkie informacje, jakich mi w powyższej sprawie tak chętnie udzieliła, nie żałując swego cennego czasu.

Ryta Gnuś.

DZIEŃ POLSKI

PISMO CODZIENNE

POLITYCZNE, EKONOMICZNE,
SPOŁECZNE I LITERACKIE.

w najszerszym zakresie omawia zagadnienia
gospodarki rolnej.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
WARSZAWA, SZPITALNA 1, TEL. 49-04 i 30-54

Prenumerata miesięczna zł. 3.50.

Na żądanie wysyłamy egzemplarze okazowe.

„PŁOMYK”

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI
I MŁODZIEŻY Z DODATKIEM

„PŁOMYCZEK“

DLA MŁODSZEJ DZIAŁY

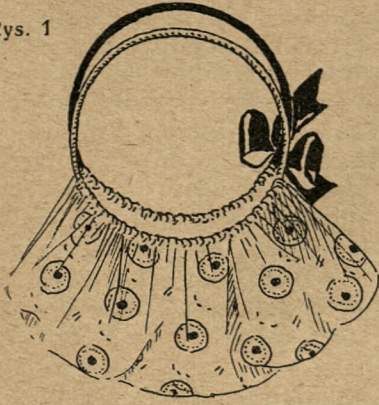
ADMINISTRACJA I REDAKCJA: WARSZAWA,
UL. ŚWIĘTOKRZYSKA № 30

Telefon 269-49

Konto czekowe P. K. O № 6980

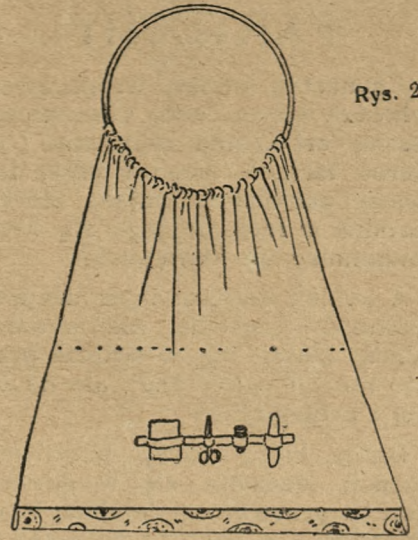
Prenumerata za cały rok szkolny 1924/25 —
zł. 11. Za pierwszy kwartał 1925 r. — 3 zł. 50 gr.;
za drugi kwartał 3 zł. 50 gr.

Rys. 1



KOSZYCZKI

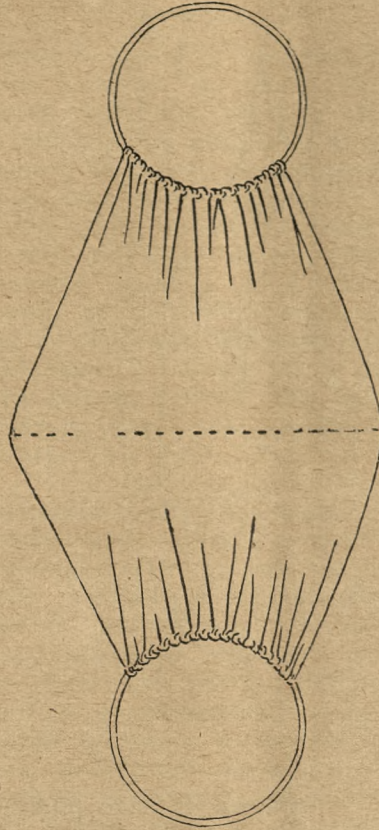
Rys. 2



W lecie podczas pobytu na wsi przyjemnie jest nieraz zająć się jakąś ręczną robótką na świeżym powietrzu. Do tego niezbędne jest posiadanie lekkiego, szczelnie zamkniętego koszyczka, żeby nie pogubić drobiazgów, jak igły, nożyczki, napastrzek i t. p. Podaję więc sposób zrobienia ładnego koszyczka-woreczka z miękkiego materiału (rys. 1).

Mając w domu petyk lub też gładkie giętkie witki wierzbowe czyli wiklinę, robimy dwa kółka o średnicy około 20 cm. (gotowe kółka można kupić w sklepach z materiałami do slöjdu). Następnie wykrawamy prostokąt z wzorzystego kretonu dowolnej wielkości. Jeśli chcemy, żeby woreczek był grubszy, lub robótką nie brudziła się, o ile materiał jest zbyt ciemny, krajemy drugi prostokąt, tej wielkości co poprzedni, z białego materiału, mający służyć za podszewkę.

Na tym kawałku można naszyć kieszonkę, lub gumkę do umieszczania nożyczek i napastrka. (r. 2) Potem oba prostokąty t. j. wierzch i podszewkę składamy razem, zaginamy brzegi w obręby tak szerokie, żeby przez nie z łatwością przesunąć niespojone kółka, które po naciągnięciu materiału dopiero zbijamy gwoździkiem (rys. 2). Po nałożeniu obydwóch kółek składamy materiał na połowę (rys. 3) aby kółka przylegały do siebie (jak na rys. 1)



Rys. 3

idwa boki częściowo zszywamy z sobą, pozostawiając materiał przy kółkach niezasyty, dla łatwiejszego rozsuwania woreczka. Część kółka nie pokryta materiałem, stanowi pałaczek, który trzeba owinąć skośnym paskiem tego materiału, co woreczek, lub wstążką i zakończyć dużą kokardą na jednym z pałaczków.

A oto drugi rodzaj koszyczka również łatwy do zrobienia, który służyć może dla dzieci do zbierania jagód i grzybów.

Materiałem do wyrobu jest petyk i rafja,

Robimy dwa kółka z petyku, dowolnej wielkości, tak aby jedno kółko szczelnie wchodziło w dru-

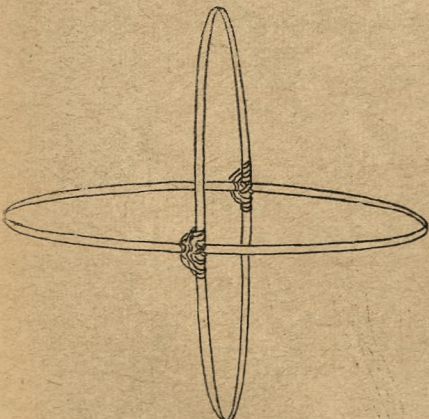
gie. Ustawiamy te kółka w ten sposób, żeby płaszczyzny ich były do siebie prostopadłe. W miejscach skrzyżowania przeplatamy kilkakrotnie na krzyż rafją, żeby kółka umocować ze sobą (rys. 4). Z petyku nieco cieńszego niż kółka robimy 6 pręcików, wyginamy w półkola i zaostrome końce wsuwamy w rafję, którą przepletliśmy dla umocowania ze sobą kółek, jak na rys. 5.

Pręcik pierwszy od środka musi być nieco dłuższy od dolnej połowy pionowego kółka, gdyż inaczej koszyczek przewracałby się. Następne pręciki robimy tej długości co i pierwszy. Pręciki te mogą być lekko zaledwie końcami obsadzone przy skrzyżowaniu kółek, a żeby nie wypadły i żeby odległości między nimi były jednakowe, w środku wiążemy je sznureczkiem, który dopiero pod koniec roboty całej zdejmujemy (rys. 5).

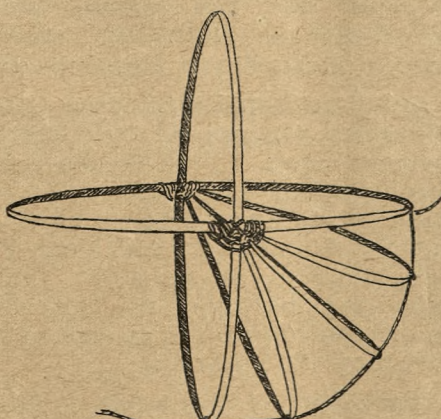
Po zbudowaniu w powyższy sposób szkieletu koszyczka przeplatamy rafję, poczynając od jednego skrzyżowania, jak na rys. 6, tylko ściślej, tak żeby pręciki całkowicie były pokryte rafją.

Na wsi, gdzie petyku i rafji dostać nie można, cały koszyczek można zrobić z wikliny, robiąc kółka z grubszych gałązek, a przeplatając cieńszymi.

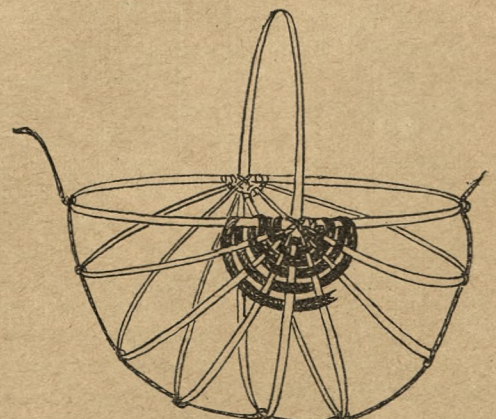
Z. M.



Rys. 4



Rys. 5



Rys. 6

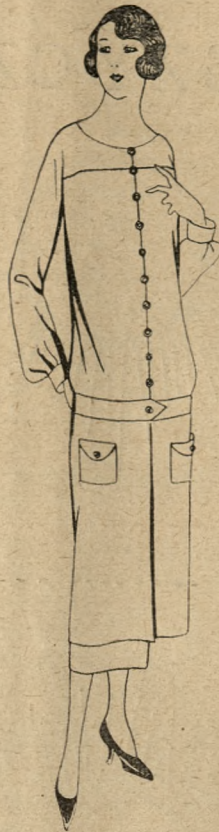
FARTUCHY

Z sylwetką kobiety współczesnej, sylwetką której cechą charakterystyczną jest krótka czupryna i papieros, fartuch, wraz z całym legionem poziomych zajęć, których zarodek w fałdach jego się kryje, conajmniej nie harmonizuje.

A jednak przemawia za nim praktyczność i szerokie zastosowanie, jakim cieszy się w świecie pracy i to nie tylko fizycznej, ale naukowej i artystycznej.

Droga, którą kroczy przyziemny fartuch, zaczyna się w górskich sferach pracowni malarskich i rzeźbiarskich, a schodzi po przez laboratorja, kliniki i szpitale, na szkolną ławkę, wkrada się do światła dziecięcego, przewija się przez scenę teatralną, najczęściej w miniaturowych rozmiarów koronkową szmatkę zmieniony i rzucony na klasyczną czerń, stylowej sukni subretki. Tęczową grą kolorów ciągnie oko, gdy zapasze go łowiczka dziewczyna, wdzięczną linią otula suknię pani domu, chroniąc ją od brzydkich plam i pyłu, aż wreszcie, wyzuty z poezji, a niemniej pożyteczny i niezbędny, zamyka korowód swych przystosowań, osłaniając korpulentne, zazwyczaj, kształty mistrzyni i mistrza cechu kucharskiego.

Od którego zacząć, jeśli nie od tego skrętnie osłaniającego fartu-



Rys. 1

cha — płaszcz, którym posługują się w pracowni malarskiej.

Kolor dowolny, zazwyczaj szary, lub ciemno niebieski, gra rolę drugorzędną. Z góry przypada mu rola tła, dla tęczy barw, których nieskąpią nigdy pędzel i paleta. Ważną jest forma, a właściwie fason, który winien przewidzieć osłonięcie od szyi poniżej kolan, chroniąc odzież od niepożądanych, a tak uporczywych, plam tłustych.

Najwygodniejszy fartuch malarski (rys. 1) jest bezwzględnie z karczkiem, krojem płaszcz przypominający. Pod szyją, mało wycięty rękaw średnio szeroki, ujęty w mankiet, zapięcie z przodu na guziki, co ułatwia szybkie narzucenie go, lub zdjęcie, ściśnięty sznurem czy paskiem, fartuch taki winien być z płótna, lub surówki, które odporne na ząb czasu, piorą się doskonale. Nie trzeba zapomnieć, o niezbędnych kieszeniach.

Jeżeli osobnikiem zakutym w ten płócienny pancerz ma być kobieta, kobieta ładna i młoda, szarżyznę stroju, łatwo ożywić można, łącząc dwie barwy i rzucając np. na smutne tło, kołnierzyk i mankiety, pasek, lub plisy w żywszym tonie, albo też haftując na kieszonce monogram lub motyw, co nada cechę wykończenia i starania.

Fartuchy — szpitalny i laboratoryjny, niewiele różnią się od siebie. Białe, szczelnie osłaniające,

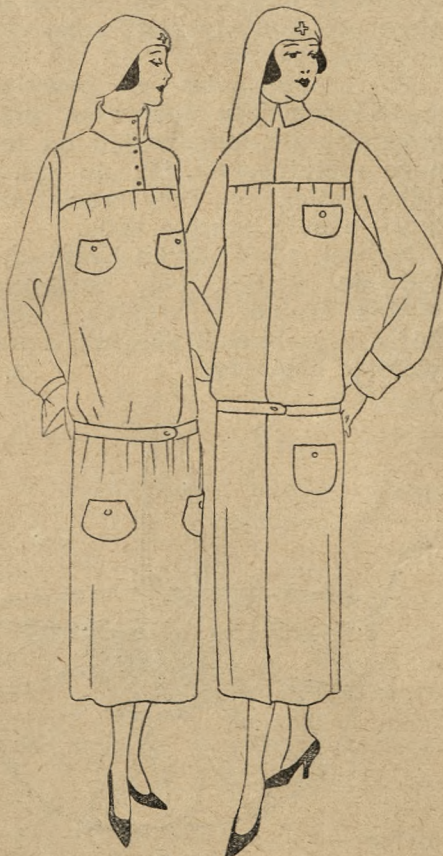
znane są każdej z nas, a jeśli której serce nie biło dotąd, pod taką śnieżną powłoką nie biło, jak dzwon na trwogę, żal i współczucie gorące, to młodociane niedorośle jeszcze do czynu paluszki gładziły pieściwie śnieżne fałdy, kładąc w dotknięcie to, jakby modlitwę i prośbę, aby bliska im istota w biel, symbol anielski, oddziana, prawdziwym aniołem pocieszycielem stała się tym, nieszczęsnym, na polu walki pozbieranym, męczeńskim strzępom ciał ludzkich i duszom w odlocie.

Podajemy poniżej dwa typy fartuchów dla pielęgniarek, których praktyczność nie wyklucza estetyki i nie psuje linii ogólnego wyglądu. (R. 2 i 3).

Fartuszki szkolne czarne alpagowe, kamlotowe, lub satynowe, nie mają przepisowej formy.

Dawniejszy, z tak zwanym bawetem, na szelkach oszytych plisowaną, czy też marszczoną falbanką, ustąpił miejsca zmodernizowanym formom, o liniach estetycznych i harmonizujących lepiej z młodocianymi kształtami, które odziewa.

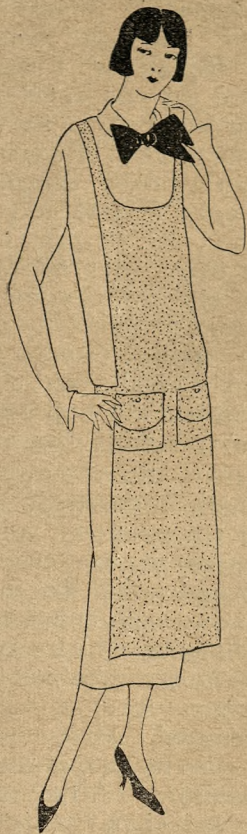
Dla małych uczących się dziewczynek, ładne i praktyczne są fartuszki na wzór luźnych sukienek, z rękawkami wszytymi w mankiet, dwoma kieszonkami i związanym lub zapiętym paseczkiem. Fartuszek taki najzgrabniej wygląda z kar-



Rys. 2 i 3



Rys. 5 i 4



Rys. 6

czkiem lekko przymarszczony i z tyłu zapięty. O ile regulamin szkolny nie jest zbyt surowy i nie wyklucza pewnych ozdób, ładnie jest wyszyć kieszonki, lub wykończyć barwnymi szlaczkami. Drugi prosty łatwy i estetyczny fason, to równy pas przez długość tyłu i przodu ucięty, szerokości takiej, aby trochę opadał z ramion, w którym wycina się otwór na szyję, a chcąc uniknąć zbyt głębokiego podcięcia, zapinanie robi się na ramieniu. Boki fartuszka oszyte szerokim skosem, trzeba związać, lub spiąć na patki, trochę powyżej bioder, normując lekkim nadmarszczeniem objętość. (rys. 4).

O fartuszku — używanym na scenę, niewiele jest do powiedzenia. Przybiera on zwykle niesamowite kształty skrawka koronki, mniej lub więcej kapryśnie udrapowanego i tworzącego wraz z białą kokardą, jaka obowiązkowo zdobici winna główkę scenicznego subretki, jasną, pełną wykwiutu i finezji, plamę, na czerni plisowanej spódniczki.

Fartuszek, który narodził się w dziecięcej komnacie, a którego barwne szlaki, tak cieszą oczka właściciela i właścicielki był szeroko omawiany w „Bluszczu” z dn. 1 listopada r. ub. (№ 44), zatrzymywając się więc nad nim dłużej nie będę. Dodam jedynie, że dla chłopczyków odpowiedniejsze są fartuszki skromne, z płótna, aplikowane,

barwnie wyszywane, lub poprostu skosikami przybrane i wykończone, Fantazja matki ma pole do popisu, projektując i tworząc zwiewne pomysły, które zakłętę w kształt, miano dziewczęcego noszą fartuszka.

Fartuch łowicki, tak zwana zapaska, noszony w pasie lub na plecach, w formie peleryny, w życiu codziennym małe ma przystosowanie. W okresie entuzjasmowania się motywami ludowymi i projektów zreformowania stroju kobiecego, opierając się na źródłach ludowych, noszono go chętnie, zarzucając na ramiona i wiążąc pod szyją na kolorowe wełniane tasiemki, nie inaczej jednak, jak w pokoju, na wsi do ogrodu, lub na dalsze leśne, czy też nadmorskie spacerki.

Niemniej szerokie i ważne, jak fartucha malarskiego i laboratoryjno pielęgniarskiego, jest zastosowanie fartucha gospodarskiego. Podzielić można rodzaj fartuchów gospodarskich na kuchenne i pokojowe. Kuchenne, duże, nadmarszczone, w pasek wszyte są zazwyczaj tak szerokie, że schodzą się z tyłu, osłaniając całą spódnicę. Uszyte z kolorowego płóciennka w paski, kratkę lub rzucik, z nieodzowną kieszenią, nieracjonalnie osłaniają tylko od pasa o ileż praktyczniejsze są fartuchy kucharskie białe z rękawami, używane jednak u nas prawie wyłącznie przez kucharzy, a za granicą w każdej kuchni, nawet średnio zamożnego, domu. Widziałam w Wiedniu, już po wojnie, kiedy tkanina papierowa, ze względu na swą taniość, zdobyła sobie prawo obywatelstwa, fartuchy kuchenne z tejże tkaniny, na oko ciemno szafirowe płótno przypominającej. Był to fartuch z góry przeznaczony do jednorazowego zesmolenia, gdyż prac się nie dawał koszt jednak był tak minimalny, bo dzisiejszym 15 groszom równy, że nawet życie trzech takich fartuchów tygodniowo nie obciążało zbyt niósłomniejszego budżetu, a oszczędzało zmuśnego i męczącego prania.

W domu średnio zamożnym, który może sobie jednak pozwolić na pewne inwestycje winno być na równi z conajmniej tuzinem ścieerek kuchennych i taką ilością do porcelany, szkła i kurzu, sześć fartuchów kuchennych i sześć białych pokojowych, które służąca idąc otwierać drzwi, lub podawać do stołu, nakładać winna. Tak jest w każdym domu w Wielkopolsce, gdzie służba dobrze wyszkolona i licząca



Rys. 7

się ze swymi obowiązkami pomimo znacznie większej wydajności prawdziwie fachowej pracy, dba o swój wygląd zewnętrzny, a utrzymanie go w odpowiednim stanie zalicza do konieczności.

Pozostaje nam jeszcze do omówienia fartuszek pani domu

Podajemy tu jeden, (r. 5) który w gorące dni letnie, przy smażeniu konfitur i wszelkich zajęciach gospodarskich doskonale zastępuje suknię, a włożony na nią izoluje ją zupełnie od wszelkich niemiłych niespodzianek. Fartuszek ten jest praktyczny ładny i do wykonania bardzo łatwy.

Jeśli nie chodzi o osłonięcie całej sukni ładny będzie fartuszek, jak na rys. 6, który zrobiony z deseniowego materiału ślicznie wyglądać będzie.

Dla młodej pani elegancki fartuszek, a prosty nad wyraz to duży kwadrat którego jeden róg przypina się na piersiach kokardą w odpowiednim tonie, do dwóch rogów przyszywa się wstążki wiążące je z tyłu na kokardę, a czwarty róg opada ku dołowi sukienki (r. 7) Fartuszek taki z białego haftu, lub rozszyty koronką i motywami jest elegancki i może być zarzucony na strojną sukienkę, o ile rola domowej pani, naraża szatkę jej na niebezpieczeństwo poplamienia przy jakimś domowym zajęciu. W.

ROZMOWA

Wielką sztuką, talentem, że tak powiem jest dar rozmawiania. Mówić lepiej, lub gorzej umie każdy — rozmawiać mało kto. Dawniej, kiedy życie towarzyskie bardzo było rozwinięte, ludzie częściej posiadali tę umiejętność, lecz od szeregu lat panujące wszechwładnie Bridge'e i Plafony, te odmiany sędziwego Whista — synonimu milczenia — odzwyczały ludzi od rozmowy — skupiając ich uwagę i wyężdżając umysł tylko w kierunku królowych — niestety nie salonów, ale zielonego stolika. Pozostały tylko wspomnienia osób, dobrze rozmawiających i pewne zasady, jak się rozmawiać powinno. Do elementarnych zasad rozmawiania należy umiejętność słuchania cierpliwie ludzi nudnych, a z zainteresowaniem ludzi dowcipnych. Stanowczo trudniej jest dobrze słuchać jak dobrze mówić, jedno jednak dopełnia drugie — słuchając uważnie, a co za tem idzie odpowiadając trafnie — podwaja się zainteresowanie rozmową. — Rozmowa powinna być, według słów Shakespeara „zabawną i wesołą bez gburowości, dowcipną bez pedanterji i zarozumienia, jeżeli mówi się o rzeczach bieżących, aktualnych, nie trzeba nic zmyślać dla sensacji”. — Taką rozmowę niestety, dodaje genialny pisarz angielski, spotyka się bardzo rzadko! Często zdarza się, że ludzie gadatliwi zasypują kogoś słowami bez końca, a czasem i bez treści, ot tak poprostu, dla przyjemności słyszenia własnego głosu; pomimo wysiłków, jakie robi nieszczęśliwa ofiara, aby uwolnić się i przerwać potok zalewających ją wyrazów, przetrzymują ją bez litości. — Takim trafnie będzie przypomnieć rady, udzielane przez pewnego ojca swojemu synowi — aby nigdy nie przytrzymał za guzik od surduta swojego rozmówcy — lepiej bowiem stanowczo wysilić energję na ujarzmienie języka, niż słuchacza. Niema przykrzejszego towarzystwa, jak takie, w którym wszyscy naraz chcą mówić, przerywają sobie wzajemnie, ale i uporczywie milczenie w towarzystwie nie jest właściwe.

Nie przywłaszczając sobie absolutnego prawa głosu, trzeba wtrącić od czasu do czasu kilka trafnych słów dla podtrzymania rozmowy. Niemożliwi w towarzystwie są ludzie, dyskutujący przy każdej sposobności — dyskusji nie tylko nie wywołuje się — ale unika, wykreślając tematy, jak religja, polityka, aby nie zaostrać rozmowy i nie doprowadzać do niepotrzebnych wybuchów. Nie zapierając się

swoich przekonań, nie trzeba ich zbyt silnie podkreślać — ani narzucać nikomu. — pamiętając, że salon to nie posiedzenie sejmowe. Trzeba umieć pozostawić każdemu wolność myśli, nawet będąc pewnym, że nie ma racji. Bywają osoby, nie znoszące opozycji, obrażające się, o ile ktoś ośmieli się być innego, jak one, zdania — nie umiające panować nad sobą i używające przy każdej okazji tonu i wyrazów impertynenckich; niech pamiętają, że takim zachowaniem dowodzą złego wychowania i braku umiejętności panowania nad sobą, która we współżyciu z ludźmi jest niezbędną. Trzeba pozostać niewzruszonym i nie zwracać uwagi na złe wyrażanie się i odezwanie, dowodzące niskiego poziomu umysłowego człowieka, z którym zetknął nas przypadek, pamiętajmy, że największy dorobek kultury towarzyskiej, to wyrozumiałość i uprzejmość.

Nie zajmuje nikogo opowiadanie o sobie i swoich dzieciach, chwalenie się ich zdolnościami lub urodą — niema nic nudniejszego jak słuchanie zwierzeń o kłopotach, niepowodzeniach, chorobach rodzinnych — tego rodzaju wtajemniczenie obcych w osobiste sprawy — wywołuje wręcz przeciwny skutek — zamiast współczucia — zniecierpliwienie i obojętność. Nie szeptaj nigdy w towarzystwie i nie mów językami dla wszystkich niezrozumiałymi. Nie używa się szumnych frazesów dla określenia drobnych rzeczy, nie wtrąca się słów cudzoziemskich bezpotrzebnie — taki sposób rozmawiania dowodzi próżności i zarozumiałości.

Nie wypada mówić nieprzyzwoitych i dwuznacznych wyrazów, opowiadać skandalicznych wydarzeń zwłaszcza ludziom starszym w towarzystwie młodzieży — szczególnie kobiety powinny strzec swojej rozmowy, pamiętając, że spodziewamy się od nich wyjaśnienia zaciemnionego przez wojnę horyzontu obyczajowego. Nie mówi się nigdy o swoich sprawach pieniężnych, równie niesmaczne są ubolewania nad brakiem, jak przechwalanie się nadmiarem pieniędzy. Nie taksuje się znajomych, obliczając, jaki mają majątek, wiele zarabiają, ile wydają i t. d. — nie obmawia się ich, a jeżeli znajdują się w towarzystwie ludzie tak niegrzeczni, aby przy nas krytykować naszą rodzinę lub przyjaciół, grzecznie, ale stanowczo trzeba umieć przerwać rozmowę i skierować ją na inne tory.

Niektóre złośliwe lub zazdrosne osoby lubią chwalić, w sposób niby życzliwy, dodając małe słówko „ale” od którego zaczyna się kry-

tyka — niema nic śmieszniejszego i głępszego jak tego rodzaju pochwały. Będąc w towarzystwie osób, które się zna za ledwie, trzeba bardzo uważać, co się mówi — aby ich nie urazić. Dużym atutem do zjednania sobie sympatji swoich słuchaczy — jest miły, głęboki organ głosu. O ile przeciwnie ma ktoś głos ostry, nieprzyjemny, trzeba starać się go złagodzić, mówiąc głosem przyciszonym, wolno, wyraźnie, unikać tonów krzykliwych lub piskliwych — jednym słowem starać się naprawić braki, któremi skrzywdziła nas natura.

Prawdziwie dobrze wychowany człowiek nie mówi nigdy zbyt głośno, stara się panować nad swoim głosem, przez co również uczy się panować nad sobą. To nie znaczy aby rozmowa miała być monotonna i bezbarwną — ale tylko subtelne intonacje powinny podkreślać nasze uczucia. Zwłaszcza przy dysputach, gdzie nietyle nas drażnią zdania przeciwne naszym zapatrywaniom — ile obrażający sposób, — w jaki są wyrażone. Prawda nieraz najprzykrzejsza, o ileż łatwiejszą byłaby do przyjęcia, gdyby nam była podana w sposób dyskretny i łagodny, dowodzący liczenia się z nami i uprzejmości, tej najcenniejszej zalety, zwanej „grzecznością Bogów.” J S

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Obejmując w „Bluszczu” dział kosmetyki lekarskiej, chciałabym nawiązać istotny kontakt z czytelniczkami, nie tylko w dziedzinie kosmetyki, lecz ogólnie we wszystkich dziedzinach wiadomości lekarskich.

Chciałabym, aby czytelniczki „Bluszczu” zwrócić się mogły do mnie także i w kwestjach zdrowotnych wchodzących w zakres życia codziennego.

Dla obopólnego zrozumienia pragnęłabym wyjaśnić paniom, że zupełnie innego rodzaju są odpowiedzi z dziedziny kosmetyki toaletowej, innego zaś rodzaju z kosmetyki lekarskiej.

W dziedzinie kosmetyki toaletowej poleca się mnóstwo środków patentowanych, tak zwane „środki radykalne”, „niezawodne”!

Stosowane jednak, bez różnicy na jakość skóry, wiek, stan ogólny, bywają b. szkodliwe.

Środki te w najlepszym razie są bezkuteczne, czasem nawet istotnie lub też pozornie pomocne — często zrobić mogą szkodę i krzywdę nie do naprawienia.

Z punktu widzenia kosmetyki lekarskiej, chodzi nam o wyjaśnienie przyczyny wypadania włosów, brzydkiej cery i t. p.

Uwzględnienie ogólnego stanu zdrowia, usunięcie tej przyczyny, daje nam jedynie możliwość racjonalnego pielęgnowania urody kobiecej.

W jaki sposób należy to czynić postaram się wyjaśnić w szeregu moich dalszych artykułów.

Dzisiaj pragnę tylko wskazać ogólne zasady:

Należy być zdrową, prowadzić tryb życia higieniczny — dużo słońca, powietrza i ruchu — są to konieczne warunki życia higienicznego.

Na ostatnim planie postawiłabym dopiero środki kosmetyczne, użyte w odpowiedniej formie i ściśle indywidualnie zastosowane. Zupełnie innego kremu wymaga skóra tłusta, gruba, innego zaś cienka, sucha. Ten sam środek zastosowany do innych indywidualności może tylko wielu zaszkodzić.

Dochodzimy więc do wniosku, że porad z dziedziny kosmetyki lekarskiej może udzielić jedynie lekarz specjalista, który gdy uwzględni przyczyny, pozna organizm, może sumiennie polecić i zastosować skuteczny środek przez siebie dobrze wypróbowany.

Chciałabym więc Paniom wyjaśnić w odpowiedziach moich tylko ogólne prawa kosmetyki lekarskiej nie wdając się w poszczególne przypadki np. co robić by włosy nie wypadły?

Ażeby racjonalnie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba poznać organizm, zbadać stan ogólny, indywidualne cechy włosów i skóry na głowie — wtedy to dopiero można zastosować ten lub inny wypróbowany środek na włosy z pomyślnym rezultatem.

Obawiam się, że Panie, przyzwyczajone do odpowiedzi z kosmetyki toaletowej, będą rozczarowane moimi odpowiedziami opartymi na zasadach kosmetyki lekarskiej.

Jednak całe zdrowo myślące społeczeństwo angielskie hołduje jedynie zasadom racjonalnej kosmetyki.

W żadnym kraju nie spotyka się tak często ludzi w podeszłym nierzadko wieku o tak świeżej cerze i młodzieńczych ruchach.

Mam nadzieję, że zasady te u nas się muszą przyjąć, chociaż może spotkają się z pewnym uporem i ulegną opóźnieniu.

Licząc na to, objęłam dział kosmetyki lekarskiej właśnie „Bluszczu”, w piśmie czytaniem przeważnie przez inteligentne kobiety.

Spodziewam się, że właśnie ta lepsza część świata kobiecego zechce mię zrozumieć i będzie popierać nowe hasła, hasła racjonalnej kosmetyki lekarskiej.

Dr. med. J. Świtalska.

Co jest niezbędnem, aby uczynić miłym pokój pracującej inteligentki i dać jej możliwość prowadzenia minjaturowego gospodarstwa.

Jak dalekimi się nam wydają czasy, kiedy pracownica inteligentna mogła mieć własne mieszkanie, chociażby te tradycyjne dwa pokoje z kuchnią, mieć własną służącą, mieć własny obiad w tej kuchni, przez tę służącą zgotowany.

Dzisiaj, nawet dużo zarabiającą, wyższą urzędniczkę, pracownicę bankową, znaną i poczytną literatkę lub dziennikarkę, stać za ledwie na jeden pokój. Na jeden pokój tylko, bo jeśli nawet należy do tych szczęśliwych wyjątków, które posiadają przedwojenne mieszkanie, to wszystko to jest wynajęte innym, nawet kuchnia, gdyż utrzymanie służącej, mającej większe od samej pani wymagania, jest ponad jej możliwość i w rezultacie ma się może nieco większy, nieco lepszy, jaśniejszy, lepiej umeblowany, lecz znowu jeden pokój tylko.

O ile się już ma meble własne, należy oczywiście się do nich zastosować, jak najlepiej je wykorzystywać i co najwyżej starać się swoje gniazdko jak najgustowniej przyozdobić. Inaczej jest, kiedy się zdobędzie ten ideał marzeń powojennych, ten pokój własny, a pokój ten jest pusty.

Tutaj należy się poważnie zastanowić nad tem, aby wydając możliwie niedużą sumę, urządzić sobie wygodne i estetyczne „home”, w którym by się nie odpoczywało po pracy, lub pracowało dalej, z któregooby nie ciągnęło, nie wyrzucało wprost na ulicę, z brzydkiego, niesympatycznego otoczenia, któreby mówiło o naszej praktyczności i zamiłowaniu do piękna.

Niedużo sprzętów, ale wygodnych i celowych.

Więc naprzód nie trzeba tradycyjnego łóżka, służy ono tylko w nocy, a w dzień najniepotrzebniej dużą część pokoju zabiera, zamiast niego otomana z szufladą do której na dzień się

całą pościel składa, — lub — co lepiej jeszcze, rama sprężynowa na czterech nóżkach, na to kładzie się siennik, piernat, lub materac włosiany, przykrywa dywanem, kilimem, wełniakiem lub nawet gustownym kocem, poduszka lub jasiek, a nawet zwinięta w rolkę kołdra, dostaje na dzień barwne poszewki z kwiecistego lub w orientalne desenie drukowanego kretonu, układa się je pod ścianą i mamy śliczny mebel, na którym sypia się w nocy, a mieszka, literalnie mieszka dzień cały.

Bo można na tem siedzieć w najprzeróżniejszych pozach, pracować, przysunawszy stolik, czytać nawpół lub zupełnie leżąc, można nawet przyjmować liczne wizyty, gdyż na takiej improwizowanej otomane łatwo sześć do ośmiu osób z trzech stron usiąść może. Nad tem na ścianie jakaś chusta krakowska, płachta łowicka, jakiś kilimek barwny, czy dywanik wschodni daje ładne, barwne tło do umieszczenia pamiętkowych fotografii, szkiców, jakiegoś portretu rodzinnego — pamiętki z lepszych czasów, lub — co kto ma w tym rodzaju.

Drugim meblem nieodzownym jest szafa, duża pakowna szafa, którą kupując, dobrze trzeba wybrać, aby posiadała wszystkie niezbędne zalety. Musi więc być głęboka, aby suknie i okrycia powieszono na wieszakach, na górnym kiju, wygodnie się mieściły wpoprzek i nie mięły. Nad kijem powinny być półki wewnętrzne na kapelusze, różne pudełka i drobiazgi, w dole szafy umieszczamy obuwie, w dwu dolnych szufladach bieliznę.

Okno ozdabiamy firanką białą, gdyż taka się najlepiej pierze, samo okno, aby się zabezpieczyć przed ciekawością sąsiadów, najlepiej do połowy okleić papierem witrażowym, można wybrać bardzo gustowne desenie, odpowiednie do koloru obicia kanapy, lub obić na ścianie. Witraże takie robią wrażenie malowideł na szkle i słońce, świecąc przez te barwne szybki, ożywia pokój ślicznymi, kolorowymi plamami.

Kwestja stołów jest nader zawiła — właściwie potrzebne są niezbędnie cztery chociażby nieduże stoliki. Jeden do pracy z teką, papierami, lampką elektryczną (na bardzo długim sznurku, którąby po całym pokoju, zależnie od potrzeby, wędrować mogła). kałamarzem etc. etc., drugi pokryty jakąś białą haftowaną czy koronkową serwetką, dająca się łatwo wyprać, służący za toaletę i mieszczący zwierciadło, grzebienie, flakony i inne przybory toaletowe, trzeci, służący do przyjmowania posiłków, kraja-

nia, robót i szycia, czwarty, posiadający o ile można parę szuflad i półkę dobrą do czynności gospodarskich. Ten ostatni stół należy zaopatrzyć w duży fartuch, zakrywający go aż do dołu, aby pod nim u dołu trzymać rondelki, i patelnię, maszynkę naftową i bańkę z naftą, garnki i słoiki i wszystkie utensylja gospodarcze, mogące robić wrażenie niemiłe. Do szufladek składamy: do jednej sztućce i łyżki kuchenne, ścierki i bieliznę stołową, do drugiej rozmaite suche zapasy, mąkę i kaszę i wszelkie przyprawy kuchenne.

Na samym stole można ustawić naczynia fajansowe, porcelanowe i szklane, przykryte dużym kwadratem kretonu obrębnego, dobranego kolorem i deseniem do poduszek na kanapie i falbany — fartuszką przy stole.

Na drzwiach wejściowych można umieścić szereg haczyków, na których można wieszac suknię dopiero co zdjętą, a jeszcze nie oczyszczoną z błota i kurzu, okrycie wilgotne, szlafroczek ranny, i t. p. na to musi być pokrycie odpowiednie do innych przedmiotów kretonowych. Małą, żelazną umywalkę, zaopatrzoną w kompletny garnitur, najlepiej z emalowanej blachy, jako najbardziej trwałej, zakrywamy parawanikiem koszykowym lub bambusowym, pokrytym barwnym kretonem, jakimś malowidłem gustownym, lub aplikacją na szarem płótnie. Biblioteka podręczna z braku środków i braku miejsca ogranicza się przeważnie do półki z książkami, umieszczonej gdzieś w pobliżu biurka. Parę krzeseł wiedeńskich — kompletuje umeblowanie. Jeżeli kto może sobie pozwolić na zbytek wygodnego, wyściełanego fotela i dywana lub skóry jakiego wilka pod nogi, będzie miał komfort iście wymarzony, — jeżeli zaś lubi mieć ciepło, a nie zechce wydawać bajorńskich sum na opalanie olbrzymich, kaflowych pieców, lub nie jest zmuszony płacić sum neapolitańskich za zwykle złe działające ogrzewanie centralne — niechaj kupi sobie piecyk ekonomiczny, blaszany, wyłożony gliną, z rurą wstawioną do dziurki w kafelku pieca. Taki piecyk nagrzewa momentalnie pokój, zużywa na jednorazowe nagrzanie około 1%—2 kilo węgla, ciepło to zwykle wystarcza do rana. Osoby, marznące łatwo, mogą go napalić powtórnie z rana, — można na nim we dwie minuty zagrzać duży czajnik wody do mycia się, do herbaty, do zmywania naczyń lub do przeprania drobiazgów. Kwadratowy, zgrabny ten sprzączek zabiera bardzo mało miejsca, nie rani oka, kosztuje kilkanaście złotych i daje ogromne

oszczędności na opale. Od trzech lat używam takich piecyków i jestem z nich bardzo zadowolona.

A teraz, ponieważ gorąco polecam wszystkim moim Czytelniczkom, ze względów zdrowotnych, i ekonomicznych przyrządzenie posiłków w domu, muszę wyliczyć tutaj najpotrzebniejsze utensylja, w jakie się w tym celu zaopatrzyć muszą. Więc przedewszystkiem maszynka naftowa, dwuknotowa, systemu Graets lub innego lecz nigdy nie „Primus“. Mam okropny wstręt do tej huczającej, kapryśnej maszyny, nie dającej się regulować.

Maszynka knotowa, czysto utrzymywana nie powinna ani kopcić, ani dawać przykrego zapachu. Do nafty należy mieć bańkę blaszaną, aby uniknąć niebezpieczeństwa rozbicia butelki szklanej.

Chcąc gotować całe obiady w domu, należy się zaopatrzyć w dwa gniazda z papierów gazetowych, konserwujących ciepło w potrawach — opis ich dałam przy gotowaniu obiadów na maszynce. Gniazda te, jako rzecz niezbyt estetyczna, muszą być ukryte gdzieś około umywalki lub w jakiejś pustej walizce, stojącej w kącie.

Duży czajnik do wody i mały imbryczek porcelanowy do zaparzania herbaty, jeden rondel głęboki najmniej dwulitrowy, drugi bardziej płaski litrowy i mały rondel półlitrowy do gotowania mleka, jaj i parówek, powinny na razie wystarczyć.

Patelnia średniego rozmiaru, stalowa lub żelazna z rączką, garniec emalowany, nieduży do duszenia mięsa.

Moździerz, tarka, deseczka do krajania i zbijania mięsa (musimy naznaczyć stronę przeznaczoną do mięsa, drugą używać tylko do oprawiania ryb i śledzi, gdyż jedno od drugich mogłyby nabrać przykrego zapachu). Nóż bardzo ostry średniego rozmiaru, większa i mniejsza łyżka durszlakowa, ostry widelec do wyjmowania gorącego mięsa z rondla, szumówka, sitko i durszlak są to przyrządy, najniezbędniejsze.

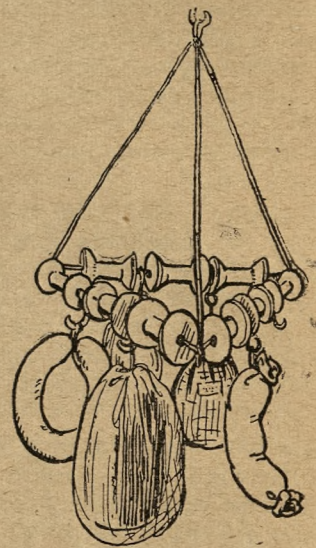
Garniec fajansowy do mleka, miska do rozrabiania ciasta, parę talerzy metalowych, zastępujących półmiski, jakaś forma do zimnych legumin i takie małe gospodarstwo na jedną osobę jest zaopatrzone we wszystkie najniezbędniejsze utensylja,

Talerz płytki i talerz głęboki, parę talerzyków deserowych, koszyk do chleba, łyżka nóż i widelec stołowy, wystarczą do tych samotnych posiłków. Inaczej jest jeśli gospodyni jest bardzo gościnną, lub gdy ma kogoś z krewnych

lub przyjaciół, z którymi posiłki dzieli — naczynia trzeba mieć podwójną ilość, a robota jedna i koszt niewiele większy,

Filiżanek i szklanek, łyżeczek i talerzyków małych radzę zawsze mieć po pół tuzna, bo nie wierzę w istnienie kobiety — polki, która by bodaj szklanką herbaty lub filiżanką kawy nie przyjęła kilku osób. Wiem, że jak zwykle na to co napiszę, jedni powiedzą „zbyt mało“, inni „aż tak dużo“, — rzecz to zwykła — w naszej biedzie są też różne skale i stopnie. *Pani Elżbieta*

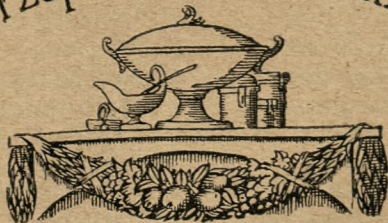
PRAKTYCZNY POMYSŁ



Podajemy rysunek przedmiotu, który w każdym gospodarstwie będzie pożyteczny.

Używa się go do rozwieszenia zapasów mięsnych i różnych suszonych produktów, a robi w sposób następujący. Na długi dowolnie, kawał grubego drutu — naciąga się luźno duże puste szpulki po niciach — drut się zamyka i wygina w równy trójkąt. U rogów tego trójkąta przywiązuje się długie, mocne sznury — zbiera je się u góry i zawiesza u szfytu na haczyku wkręconym w tym celu. Przyrząd ten obwiesza się, między szpulkami produktami przeznaczonymi do przechowania, a szpulki nie pozwalają się zsuwać zawieszonym przedmiotom. Można uszyć woreczek z muślinu, lub gazy i naciągnąć go, w celu zabezpieczenia produktów od much. Przyrząd ten bardzo dowcipnie wymyślony przyda się w każdej najzamożniejszej i najskromniejszej spiżarni zabezpiecza bowiem wiszące poniekąd w powietrzu wędliny od pleśni rzucającej się łatwo na nie przy zetknięciu z murem.

Przepisy gospodarskie



SAŁATA.

Najlepiej nam smakuje pierwsza, wiosenna sałata, niestety, prawie zawsze, jemy ją zbyt wcześnie przyrządzoną, wiotką, sflaczałą, co połowę jej wartości smakowej odbiera.

Sałaty nie należy nigdy długo moczyć przed przyrządzeniem ani tembardziej długo trzymać zalanej przyprawą.

Jeśli chcemy sałatę zwiędłą nieco odświeżyć najlepiej jest cały krzaczek zmoczyć wodą, a włożyć w wodę korzonek tylko, lub w braku korzonka łądygę. Po kilku godzinach powinna sałata się odświeżyć, o ile naturalnie nie była beznadziejnie zwiędła i zaschnięta.

Przed przyrządzeniem należy sałatę starannie lecz prędko opłukać z kurzu, położyć najlepiej na płócienną serwetę, serwetę ująć za cztery rogi i mocno kilka razy wstrząsnąć, wszelka wilgoć pozostanie na serwecie a sałata nie połamie się i liście jej nie stracą jedności. W niektórych dobrze urządzonych kuchniach mają specjalne, druciane koszyczki do otrząsania z wody sałaty, można też ją osączyć na sicie lub przetaku, najlepiej jednak wszelką zbyteczną wilgoć z niej zabiera serweta.

Sałatę młodą podzieloną na listki, układa się na salaterce i dopiero w chwili podania na stół lekko soli, polewa gotową zaprawą i podaje do stołu natychmiast po wymieszaniu jednorazowym drewnianą lub kościaną łyżką i widelcem, używanymi tylko do sałaty.

Starszą głowiastą sałatę nietylko dzieli się na listki, lecz nawet odrzuciwszy w pierw największe, zbyt zielone i twarde liście, kraje na części, przyczem czem więcej jest twardszych, kruchych, żółtawych, zblichowanych listków, tem sałata ta jest smaczniejsza.

U nas w kraju sałatę przeważnie jadają ze śmietaną, koperkiem, szczypiorkiem, cukrem i octem. We Francji i Włoszech, gdzie sałata jest w codziennem użyciu u ludu wiejskiego i miejskiej klasy robotniczej, takiej przyprawy wcale nie znają. Jadają ją przeważnie z solą, dużą ilością oliwy i trochę octu. Jeśli oliwa jest dobra, — a o taką w Polsce od czasu traktatu handlowego z Włochami nie

trudno, jest to najlepszy sposób zaprawiania sałaty.

W codziennem życiu, bez ceremonialnych gości należy sałatę opłukaną i osączoną kazać podawać na salaterce nie przyrządzoną do stołu, Pani domu niech ją z lekka osoli, poleje obficie oliwą i niedużą ilością dobrego octu, lub lepiej jeszcze sokiem cytrynowym wyciśniętym na specjalnie do tego przeznaczonej maszynie. Dwa razy przemieszać sałatę z góry na dół i natychmiast nakładać na talerze, smakuje wtedy wybornie. Kto lubi bardziej ostrą zaprawę, niech do oliwy doda pół łyżeczki angielskiej suchej musztardy „Coteman's mustard powder“, mieszając tę musztardę z oliwą i octem, ewentualnie sokiem cytrynowym w oddzielnym kubeczku, i wylewając gotową zaprawę na sałatę. Na kresach szęsto podają sałatę ze słoniną i z octem, przy czem słoninę się zasmarza, dolewa octu i gorącym płynem raz lub dwa parzy sałatę, — traci ona przy tem oczywiście swą świeżość, — głowiasta sałata, tak przyrządzona wielu osobom smakuje. Jest to zresztą wcale nie polski ani specjalnie kresowy sposób przyrządzenia sałaty, lecz czysto francuski ludowy, gdzie taka „salade au lard“, nie jako dodatek do mięsa, lecz jako oddzielna jarzyna się podaje, ten sam sposób znalazłam niedawno w dziale jarzyn włoskiej, kucharskiej książki, i jadłam sama w mniejszych szwajcarskich pensjonatach, — widocznie więc przepis ten przyszedł do Polski z którąkolwiek z włoskich lub francuskich królowych, którym używanie większości jarzyn zawdzięczamy. Sałata zielona jest tak taniem i zdrowem pożywieniem, że nie można jej dosyć polecać. Dotąd u nas w kraju, ogół, mimo drożyzny i ciężkich czasów, spożywa nadto mięsnych pokarmów, mając wszelkie jarzyny i zieloniny w pogardzie niejako. Francuzi, mistrze niezrównani w kierunku wyzyskania wszystkich darów natury dla celów gastronomicznych, sałatę głowiastą traktują nie jako dodatek do mięsa, lecz jako samodzielną jarzynę, podając ją duszoną pod rozmaitemi sosami a nawet nadziewaną mięsnym lub rybnym farszem, w rodzaju naszej nadziewanej kapusty. Nie wiem czyby to wszystkim moim kompotrjotom smakowało, sałata goto-

wana ma wyraźniejszą goryczkę niż surowa, w sezonie podam jednak parę oryginalnych francuskich sposobów jej przyrządzania.

SZCZAW.

Najsmaczniejszy jest na wiosnę, kiedy zaraz po zejściu śniegu, jego młode listki można zbierać po rowach i dołkach, później staje się twardy i łykowaty, to też do późniejszego użytku zalecić można głównie szczaw ogrodowy o bujnych, wielkich liściach, natomiast znacznie mniej kwaśny od polnego.

Wszyscy znają zupę szczawiową, zaprawianą śmietaną, natomiast nie wszyscy wiedzą, że młode listki szczawiu wrzucone w całości do rosółu z jarzynami bardzo mu smaku dodają. Do zupy „julienne“ z jarzynkami krajanymi w drobne paski, dodaje się szczawiu w takiej paski krajanego i razem to zagotowuje. Bardzo eleganckim jest mocny, czysty rosół z liśćmi szczawiu w nim zagotowanymi i włożonym do każdego talerza jajkiem posztowanym lub w koszulce, (to jest o twardem białku a miękkim żółtku). Nakon ec można ze szczawiu zrobić doskonały sos do sztuki mięsa, dusząc usiekany szczaw w łyżce dobrego masła, lub pozłoty ze świeżo gotującego się rosółu, gdy zmieknie zaprawia się sos dobrą łyżką mąki, rozprowadzonej przestudzonym rosółem, zagotowuje razem, dodaje parę łyżek śmietany i łyżeczkę herbatnia dobrego śmietankowego masła. Z masłem i śmietaną nie należy już gotować szczawiu, a tylko go mocno rozgrzać i oblać sztukę mięsa lub też podać oddzielnie w sosjerce. Nie wszyscy lubią szczaw na jarzynę, — jest on dosyć kwaśny, a gdy się jego smak chce polepszyć dodaniem cukru, staje się mdły. Natomiast bardzo dobrą jarzynkę wiosenną można zrobić ze szczawiu biorąc go po połowie z zimowym szpinakiem, z młodą pokrzywką, lub nawet z liśćmi inspektowej rzodkiewki, którąkolwiek z tych wiosennych mieszaninek sparzyć wrzątkiem, zagotować raz, odcedzić, usiekać drobno tasakiem, lub lepiej przesuścić przez maszynkę do mięsa. Zasmarzyć łyżkę dobrego masła, włożyć w to szczaw, przesmażyć razem, osolić do smaku, kto lubi słodkawo, dodać łyżkę cukru, dobrą łyżkę mąki rozbić w szklance śmietany, wlać w jarzynę, dodać parę łyżek tłustego rosółu, zagotować. Uważać aby jarzyna nie była zbyt rzadka, t. j. miała gęstość zwykłego szpinaku, wydać obłożoną parówkami, jajami sa-



dzonemi, nadziewanemi lub poszetowemi, grzankami smażonemi, lub kotletami cielęcymi odbijanemi, lub siekanemi.

BUDYŃ Z BABKI

Po Świątach zostaje nieraz tyle ciast drożdżowych, że ich zjeść nie sposób, tem bardziej, że najsmaczniejsze rzeczy prędko się przejadają, a najwykwintniejsze ciasta — jednak z czasem czerstwieją. Otóż doskonałym zużyciem takiej czerstwej babki jest budyń. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać bułeczką tartą i układać w niej szczelnie kawałki babki czerstwej, przesypując rodzenkami bez pestek, figami krajanimi, lub drobno pokrajaną skórką pomarańczową, czy cytrynową smażoną w cukrze, — tem, co mamy w danej chwili pod ręką. Wziąć mleka, w zależności od rozmiarów formy, np. na litrową formę około dwóch szklanek, rozbić z trzema jajami, zalać tem babkę, aby zupełnie objęło, forma nie powinna być pełna, aby budyń miał gdzie brzęknąć. Formę nakryć pokrywą i wstawić w rondel drugi, większy, z gotującą się wodą, która nie powinna dochodzić na dwa palce do pokrywy, aby wrząca woda nie dostała się do środka formy. Gotować tak godzinę, poczem budyń wyrzucić na półmisek i wydać z sosem śmietankowym, zaciąganym z żółtkami i wanilią, z szodonom lub nawet z jakim sokiem owocowym, czy zimnym syropem.

GRZANKI Z PLACKA

Czerstwy placek wielkanocny, który już przestał smakować, można zużyć na wyborne grzanki. Pokrajać placek na zgrabne kawałki grubości palca, każdy kawałek zamaczać chwilę w mleku, (jaj dodawać nie trzeba, gdyż ciasta świąteczne mają ich dosyć w sobie), ułożyć na talerzu, aby grzanki nieco wybrzękły i wessały w siebie mleko, gdyż mokre zbyt przystawałyby do patelni. Smażyć je przed samem podaniem, na rozpuszczonym niesolonem maśle, gdy się z otu stron zrumienią, na każdej położyć plasterki smażonego dużego owocu lub łyżeczkę konfitur z drobnych owoców i gorące podawać. Można do nich podać sos śmietankowy zaciągany z wanilią i żółtkami lub śmietaną bitą z wanilią i cukrem.

Najsmaczniejsze są grzanki z konfiturami, z pomarańcz lub ananasa, można w takim razie podać do nich sos szodonowy, a będziemy już mieli prawdziwie wykwintne danie.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Zanieczyszczony grzebień nalać benzyną — niech chwilę w niej poleży — następnie wyjąć i wytrzeć go starannie, będzie zupełnie czysty i nie skrzywi się tak, jak od ciepłej wody —

* * *

Delikatne gąbki toaletowe po dłuższym używaniu nasiąkają mydłem i stają się niemiłe w dotknięciu. Taką gąbkę położyć na talerzu i obsypać drobno utłuczonym chlorkiem wapna. Po kilkunastu minutach wypłukać kilka razy w czystej wodzie i wysuszyć — będzie jak nowa.

Korespondencje działu praktycznego

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Pytania nie uwzględnione w tym numerze, znajdują odpowiedź w następnych numerach „Bluszczu”. Dla uproszczenia odpowiedzi i aby nie powtarzać kilkakrotnie tego samego — proszę łaskawe Czytelniczki o czytanie wszystkich odpowiedzi.

T. A.

Na schudnięcie diety wpływa minimalnie, mam na myśli odżywianie się normalne. Nie głodzić się, natomiast używać mniej potraw mącznych i słodkich, więcej jarzyn, nabiątu i owoców.

Natomiast jedynie ruch, kąpiel, gimnastyka i masaż wpływają radykalnie na schudnięcie.

Włosy na twarzy i nogach można jedynie usunąć chwilowo, środkami chemicznymi — jednak potem stale odrastają jeszcze bujniej. — Nie wolno wyrywać, wszelkie drażnienie jak wyrywanie wpływa na odrastanie szybkie i gęstsze. Jedyny środek pewny to elektroliza. Metoda bardzo powolna, kosztowna i uciążliwa powinna być stosowana w miejscach bardzo rażących np. wąsy, broda.

Wągry patrz odpowiedź p. J. J.

P. Joannie L.

Wobec olbrzymiej ilości nadesłanych do redakcji pytań w kwestji porad kosmetycznych i higieny włosów zmuszona jestem w najbliższym numerze napisać obszerniejszy artykuł o włosach, proszę o łaskawe przejście go.

Nauczycielce G. M. G.

Bardzo częstą wadą budowy ciała kobiecego jest różnica w wiel-

kości biustu. Jedynie masaż może poprawić, nigdy zupełnie wyrównać.

P. Stefanji B.

Przy delikatnej skórze na rękach nie wolno rąk zbyt często moczyć. Do mycia używać sody (łyżeczka na 2 litry wody). Na mokre ręce stosować płyn 100 gr. spirytusu, 1 cytryna, 200 gr. gliceryny). Ręce wytrzeć dokładnie do sucha.

P. Wandzie Z.

Czerwoność nosa ma wiele przyczyn. Może być choroba wewnętrzna — zaburzenie w gruczołach o wewnętrznym wydzielaniu — wiek przejściowy, choroby kobiece, alkohol, choroby skórne. Najczęściej jednak odmrożenie. Usunąć przyczynę — jest to środek najpewniejszy. Miejscowo zastosować parówki i pedzlowanie: taniny 5 gr. gliceryny 15 gr. Daje niekiedy dobre wyniki.

Puszystość włosów jest to własność wrodzona. Można nieco poprawić przez odpowiednie mycie włosów (patrz odpowiedź Stefanji).

Należy włosy rozluźniać jaknajczęściej i umożliwiać dopływ promieni słonecznych i powietrza.

Obecnie najczęściej stosują masaż włosów, środek idealny na wzmocnienie i uczynienie włosa bardziej puszystym.

P. C. S. z Lublina.

Wypadanie włosów ogniskowe może mieć bardzo ważne powody: tło nerwowe, urazowe, grzybkowe i t. p.

W każdym razie wyleczyć się da, ale leczenie długie, uciążliwe. Nie należy zwlekać. Jak najszybciej udać się do specjalisty.

P. Władysławie K.

Piegi radykalnie usunąć się nie dadzą. Ostrzegam przed środkami patentowanymi na piegi. Należy bardzo indywidualnie stosować, albowiem piegi zwykle występują na skórze bardzo delikatnej, a niepewne środki patentowane mogą bardzo zniszczyć skórę. Najlepszy środek to kamfora razem z rtęcią precipitową i bismutem w lanolinie. Stosować należy 3 — 6 tygodni — piegi znikną, lecz po pewnym czasie znowu wrócą. Wyjątkowo nie wracają.

Ogólnie unikać słońca na twarz, używać pewne kolory np. czerwoną parasolkę lub woalkę. Zbyt nie przejmować. Środek podany przeciw piegom stosować tylko podczas lata. Zimą i jesienią pauzować.

P. J. Jenkówna, Marja K. i T. A.

Na punkciki czarne około noska radzę Pani nacierać codziennie miejscami zajęte spirytusem salicylowym 1% —

2 — 3 tygodnie Stale, raz na tydzień paróweczka twarzy 3 minuty.

O ile pani nie ma aparatu do parowania twarzy, można zastąpić go imbrykiem, przymocowawszy do szyjki klosz uszyty z ceraty. Skutek ten sam, tylko w tym wypadku parować 10 minut.

Przy wągrach i łojotoku skóry, występujących w znaczniejszym stopniu należy przeprowadzić leczenie długie i systematyczne, opiszę to w jednym z najbliższych numerów „Bluszczu“.

P. Z. Ch. Leszno Poznańskie.

Na łupież najlepsza maść siarczana i częste mycie — 1 gr. siarki i 10 gr. wazeliny smarować 3 dni przed każdym umyciem.

P. Zofja K. i Stefanja.

Zmarszczki na twarzy można usunąć, zwłaszcza w tak młodym wieku, stosując odpowiedni masaż.

Jeżeli pani mieszka na prowincji i nie ma odpowiedniej siły wykwalifikowanej do masażu, to może pani sama nauczyć się masowania u odpowiedniego lekarza specjalisty.

Zmarszczki w tym wieku świadczą o jakimś cierpieniu wewnętrznym, lub nieprawidłowym funkcjonowaniu organizmu. Palenie papierosów, nieodpowiedni tryb życia, przepracowanie, brak słońca, powietrza, ruchu, nieprawidłowe życie płciowe, są to przyczyny bezprzecnie sprzyjające tworzeniu się zmarszczek zbyt wcześnie.

Plamy żółte — czy chodzi tu o piegi? proszę dokładnie opisać.

Wyjaśnić włosy można splukując je po umyciu rumiankiem, na szklankę wody łyżeczkę rumianku. Można dodać 1 łyżkę wody utlenionej na litr naparu rumiankowego. Nigdy więcej, gdyż woda utleniona niszczy włos.

Środek ten polecam jedynie dla blondynek.

Wypadanie włosów może mieć przyczynę w wielu cierpieniach ogólnych, n. p. chorobach wewnętrznych, kobiecych, nerwowych i t. p.

Wszystkie choroby przewlekłe, wiele zakaźnych, niektóre nerwowe powodują stałe lub czasowe wypadanie włosów. Na to, by dać środek odpowiedni i skuteczny, należy lekarzowi dać się zbadać. Lekarz po zbadaniu organizmu, może znaleźć przyczynę wypadania włosów, obejrzawszy dokładnie włos i skórę na głowie może dopiero zdecydować czy to jest to, lub inne cierpienie skóry lub włosów. Będzie to jedyna wtedy radykalna i racjonalna rada. Wszelkie patentowane środki, niepewne, czasem szkodliwe,

mogą łatwo zniszczyć i tak już nadwyrężone włosy.

Dr. med. J. Świtalska

Czytelniczce z Ostrołęki.

Naturalne i sztuczne karmienie niemowląt Jedynym, prawdziwym ideałem karmienia dziecka jest tylko mleko matki.

Zdrowa matka dostarcza dziecku tyle pokarmu, ile jest ono w stanie spotrzebować i pokarm ten zawiera wszystko, co mu jest potrzebne do zdrowia, wzrastania i rozwoju.

Ogólnie przyjętym jako czas odstawiania od piersi jest okres między 9—12 mies. Odstawianie nie powinno się odbywać nagle, gwałtownie, lecz powoli, stopniowo Zastępuje się dziecku najpierw jedno ssanie piersi buteleczką pokarmu sztucznego, potem dwa razy podaje się sztuczne, następnie trzy, aż stopniowo zaczyna się je wyłącznie karmić sztucznie, nie wywołując przez to ani zaburzeń w trawieniu, ani jakiegokolwiek ujemnego wpływu.

Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie
urządza dn. 24, 25 i 26 kwietnia r. b.
w lokalu własnym w Warszawie, ul.
Bagatela 3.

WYSTAWĘ WIN I PRZETWÓ- RÓW Z SOKU OWOCOWEGO.

Wystawa ta będzie przeglądem krajowych win i produktów z soku, urządzeń technicznych przetwórci, laboratorjów przetwórczych wreszcie piśmiennictwa z tej dziedziny.

Podczas wystawy wygłoszone będą pogadanki na temat najważniejszych zagadnień przetwórstwa.

Celem wystawy jest przyczynienie się do rozwoju i udoskonalenia tej gałęzi przemysłu ogrodniczego oraz zapoznania szerszej publiczności z wartością krajowych napojów owocowych.

Wystawcy chcąc przekonać społeczeństwo o dobroci swych wyrobów będą nimi bezinteresownie częściej odwiedzać.

W skład Komitetu wystawy wchodzi pp.: prof. Edmund Jankowski — prezes Związku Zrzeszeń Ogrodniczych; prof. Technologji Fermentacji Politechniki Warszawskiej — Wacław Iwanowski; Kazimierz Kulwiec — prezes Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego; dr. Marceł Rożański, Andrzej Mering, Aleksander Weryho Darowski — prezes Związków Wytórców Win Owocowych; Leon Karasiński i Gabryel Roskowski.

Bliższych informacji o wystawie udziela w godz. od 9 — 2 biuro T. O. W., Bagatela 3.

Jeszcze przed odstawieniem niemowlęcia od piersi należy mu podawać stały pokarm w postaci skórki od chleba, lub sucharka, celem przyuczenia go do gryzienia i wywołania ślinotoku sprzyjającego trawieniu Czasem należy dać takiemu niemowlęciu „pobawić się“ kostką od kurczenia, dziecko przyzwyczaja się do gryzienia i przeżuwania, co wywołuje przyływ krwi do dziąseł i sprzyja rozwojowi szczęk zębów i podniebienia.

Przy odstawianiu wcześniejszym od 9 miesięcy karmić niemowlę należy butelką, po 10 zaś miesiąc najprzód łyżeczką, potem kubkiem.

Jedynym pokarmem mogącym w części zastąpić mleko matki dla niemowlęcia jest t. zw. humanizowane mleko — zwyczajne krowie mleko jest dobrem i przyrodzonym pożywieniem dla cielęcia, lecz szkodliwym dla niemowlęcia — człowieka.

Podstawowym składnikiem humanizowanego mleka, jest mleko krowie, odpowiednio jednak przyrządzone.

Części składowe mleka humaniz. są następujące:

- 1) zebrane mleko (śmietanka)
- 2) serwatka sztucznie przygotowana;
- 3) woda wapienna
- 4) cukier mleczny
- 5) przegotowana woda.

Na żądanie przyślę dokładny opis sporządzenia mleka humanizowanego, co nie jest rzeczą zbyt trudną, może być jednak dokonane tylko przez osobę bardzo sumienną i troskliwą.

O poszczególnych składnikach mleka humanizowanego powiem tyle: 1) zebrane mleko zawiera więcej tłuszczu od zwykłego, czyli substancji odżywczych; 2) serwatka ma mniej tłuszczu, lecz również posiada dużą wartość odżywczą, a co najważniejsze, bywa doskonale znoszone przez dzieci w okresie zaburzeń żołądkowych, w okresie krytycznym, gdzie trzeba ograniczyć podaż tłuszczu; 3) woda wapienna; 4) cukier mleczny jest to naturalny wytwór mleka, bardzo łatwo się trawi i wstrzymuje gnicie w kiszki, podczas gdy zwykły cukier wywołuje fermentację, jest niestrawny, i wywołuje zaburzenia kiszkiowe,

Obok mleka humaniz. stosuje się kleiki i kasze. Kleiki, jak owsiany, jęczmienny ryżowy, posiadają mniejszą wartość odżywczą i gorzej są znoszone przez niemowlęta, jedynie w końcu roku I-go można nimi urozmaicać menu małego dziecka. Dr. S. Mozolowska

Opis sukien i robót do Nr. 17.

300. Suknia letnia z woalu, przybrana jedwabiem w kratę.

301. Suknia letnia z kreponu koloru „cyclamen,” przybrana guzikami.

302. Suknia letnia z płócienka piaskowego, przybrana barwnymi szlakami ręcznie wyszywanymi.

303. Suknia z granatowego woalu. Kołnierzyk z białej organdy, naszyty różnokolorowym sutazem.

304. Suknia z tafty w kratę, w pasie aksamitka.

305. Suknia z kreponu koloru szmaragdowego. Przybranie z marszczonej, czarnej, rypsowej wstążeczki.

306. Suknia z bawełnianego crêpe marocain, pas z deseniowego jedwabiu.

307. Suknia letnia z „tricoline” w kolorowe paski na jasnym spodzie, przybrana guzikami. Krawat jednokolorowy, odpowiedni do pasków.

308. Suknia z deseniowego i gładkiego woalu, lub fularu.

309. Paltocik dla dziewczynki od lat 4 do 6 z granatowej wełny, z kolorowymi wypustkami.

310. Suknia z płótna, lub surowego jedwabiu z nadkładanymi kontrafałdami. Krawat i naszytacie kolorowe.

311. Sukienka z deseniowego opalu, wykończona małymi falbaneczkami. Szarfa w odpowiednim kolorze.

312. Wzór na poduszkę, lub makatkę robotą kilimową. Wielkość 50×45 cm.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Zwracamy uwagę naszych Czytelniczek, że rysunek podany na okładce, kompozycji [prof. E. Bartłomiejczyka może służyć jako wzór na makatę, lub poduszkę wykonaną haftem kolorowym.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji do datku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Pani Mar. W tym wypadku był nieodpowiedni. Przy cerze tłustej daleko lepiej stosować franc. płyn „Petunia;” działa na piegi, radykalnie je usuwając.

St. St. Wystaliśmy ang. płyn „Bisare.” Należy nim smarować skórę głowy co drugi dzień. Łupież zniknie, bujny zarost powróci.

Maryll. Do mycia twarzy zamiast mydła używać otrąbki migdałowej „Select.” Twarz nacierać kremem „Letycja” lub „Salome,” a przestanie się łuszczyć.

Blondynce. Jest krem „Petunia” i płyn „Petunia;” oba środki doskonale działają na piegi. Płyn „Petunia,” jest więcej polecany i skuteczniejszy, na cerę łuszczącą się jednak lepiej używać kremu.

Zmartwionej. Przeszła wypadać, głowę zwilżać co 2 — 3 dni płynem „Bisare” i myć mydłem płynnym „Pinol” co tydzień.

Krostowatej. Twarz myć proszkiem alkalicznym „Sveno” i zwilżać twarz płynem „Albarol” 3 — 4 razy dziennie. Marki na odpowiedź należy załączyć.

Dr. Roemer.

ZAWIADAMIAMY NASZE CZYTELNICZKI, ŻE NADSZEDŁ DRUGI TRANSPORT TIULU GENUJEŃSKIEGO, KTÓRY WYSŁAMY PO OTRZYMANIU ZAMÓWIENIA WRAZ Z NALEŻNOŚCIĄ. CENA METRA 15 ZŁP. SZEROKOŚĆ 180 CM.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”
z przesyłką pocztową wynosi

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14.60, miesięcznie—4.80.
Zagranicą: miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.
Telefon № 239-40. Konto czekowe P. K. O. № 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

25 KWIETNIA 1925 r.

Zjazd Koła Polek

25 i 26 kwietnia 1925 r.

Zjazd odbędzie się w sali Towarzystwa Krajoznawczego, Karowa Nr. 31.

PORZĄDEK DZIENNY:

Dnie 25 kwietnia — sobota: Godz. 9 m. 30 rano: Nabożeństwo w kościele św. Krzyża (Kaplica Matki Boskiej).

Godz. 10 m. 30 rano: Otwarcie Zjazdu, Sprawozdanie Zarządu, Komisja Rewizyjna, Sprawozdanie „Bluszczu“ (Redakcja).

Przerwa.

Godz. 4-ta po poł. Sprawozdanie Kół prowincjonalnych, Komisja Klubowa—(p. Hutten Czapska i pani Niemyska). Herbatka o godz. 9-tej—Krakowskie Przedmieście № 99.

Dnia 26 kwietnia — niedziela: Godz. 10 m. 30 rano. 1. Referat gospodarczy p. Widomski. 2. Dyskusja na temat: Rodzina i praca zarobkowa kobiet. Gospodarstwo domowe i zagadnienia służby domowej. 3. Wystawa ruchoma prób i wzorów p.—Bleszyński.

Godz. 3-cia po poł. Poświęcenie sztandaru Świetlicy na Pradze (Tarchomińska 12).

Godz. 6 ta po poł. Wybory (lokal Zjazdu), Zakończenie Zjazdu.

Kurs wyszkolenia policji kobiecej

Dn. 16 kwietnia o godz. 8 rano rozpoczęto kurs szkolenia policjantek.

Kurs składa się z 30 słuchaczek, zostających pod zwierzchnictwem komendantki kompanji, upatrzony na to stanowisko z pośród byłych legionistek.

Regime i rygor wojskowy!

Słuchaczkom nadano od razu szarże.

Są więc dwie starsze przodowniczkę: (komendantka i jej zastępczyni), 4 przodowniczkę, 8 starszych posterunkowych i 16 posterunkowych.

Program szkolenia obejmuje:

- 1) mustrę i ćwiczenia fizyczne.
- 2) przepisy służbowe.
- 3) organizację władz i administrację.
- 4) instrukcję policji,
- 5) procedurę karną,
- 6) instrukcje sanitarne i ratowniczo.
- 7) naukę o Polsce.
- 8) żargon,
- 9) wykłady specjalne, z zakresu zadań policji obyczajowej.

Z życia stowarzyszeń

— „RODZINA WOJSKOWA“.
Stowarzyszenie „Rodzina Wojskowa“, grupujące żony, matki, oraz niezamężne siostry i córki wojskowych, z dniem każdym rozwija się i zyskuje na popularności.

Prace w Warszawie są w pełnym biegu. Sekcje: kształcenia zawodowego, przemysłowo-handlowa sportowa, sanitarna, prawna, pedagogiczna prześcigają się wzajemnie w osiągniętych rezultatach pracy; kursy modniarstwa, introligatorstwa, krawiectwa etc., korepetycje w kompletach, kurs konnej jazdy, cykl odczytów z dziedziny kobiety i dziecka, gromadzących coraz większą liczbę uczestniczek i słuchaczek, wreszcie oddzielna poradnia dla kobiet w chorobach skórnych, otwarta, dzięki staraniom „Rodziny“ przy szpitalu Ujazdowskim pod kierownictwem dr. Świtalskiej — oto szczegóły działalności dotychczasowej „Rodziny Wojskowej“ na gruncie stolicy.

Prowincja zaczyna pracę w najróżnorodniejszych warunkach lokalnych. Pomimo utrudnień, wpływających z rozrzucenia oddzia-

łów wojskowych, wszędzie myśl o stworzeniu „Rodziny“ ugruntowała się zupełnie. Wydział prowincjonalny (adres tymczasowy: d-rowsa Zienkiewiczowa, Praga, Jagiellońska 31) rozesłał na żądanie zainteresowanych odpisy statutu „Rodziny“, znajdującego się w stadium legalizacji. Nowe zgłoszenia napływają z dniem każdym. Jeżeli prace i zainteresowania pójdą w tem, co dotychczas tempie „Rodzina wojskowa“ zajmie w szeregu organizacji społecznych miejsce wybitne.

Ponieważ oparta jest ściśle na zasadach samopomocy, z kategorią rycznym wykluczeniem filantropji, ma również na celu zadanie wyrobienia w szeregach kobiecych poczucia solidarności i szacunku dla każdej uczciwie spełnianej pracy.

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

CHOJNICE (na Pomorzu) 4 kwietnia. Towarzystwo Ziemianek na Pomorzu powstało równocześnie z Tow. Ziemianek w Wielkopolsce w roku 1911. Przez szereg lat Ziemianki z obu prowincji pracowały razem, z biegiem jednak czasu konfiguracja geograficzna, bardzo niekorzystna dla rozwoju Towarzystwa, ze względu na brak centralnego punktu zbiorczego, zmusiła poniekąd członkinie do przeprowadzenia podziału. Odtąd, to jest od roku 1922, Ziemianki Pomorskie tworzą oddzielną gałąź Ziemianek polskich i obrały sobie za siedzibę Głównych zjazdów miasto Grudziądz.

Łączność wszystkich Ziemianek na tem nie ucierpiała; przeciwnie ruch przez ułatwioną komunikację się powiększył; a odkąd istnieje w Warszawie Naczelna Rada Zjedno-

czonych Ziemianek, zobowiązana praca została umożliwiona. Jakkolwiek działalność Tow. Ziem. nie posiada jeszcze na Pomorzu, tego szerokiego rozmachu, jak na przykład w byłej Kongresówce, to jednak coraz więcej odczuwa się chęć zrzeszania się u wszystkich, bez wyjątku, kobiet. Może w żadnej dzielnicy Polski nie istnieją takie różnice majątkowe jak właśnie na Pomorzu. Do tego, hamującego rozwój harmonijny, czynnika, dodać trzeba wpływy obce — które chociaż nie zdołały zniemczyć, ale stworzyły typ kobiet narodowo obojętnych. Źródłem tej zgubnej „obojętności“ są przede wszystkim stosunki domowe: mieszane pod względem narodowym małżeństwa.

To też zanim mogła nastąpić jakaś praca, trzeba było wprawdzie obudzić poczucie narodowe u kobiet. Ale ta faza jeszcze nie minęła i dziwić się nie można, bo żadna z dzielnic Polski nie przeszła tak strasznych walk, żadna nie była wystawiona na szereg takich pokus i zmagañ z własnym narodem sumieniem. Może właśnie dzięki temu kobiety, które nie uległy i potrafiły rodzinie zachować charakter nieskazitelnie polski, posiadają więcej haru i wytrwałości niż którekolwiek inne. Na nich się też opiera główny rozwój wszystkich kobiecych towarzystw na Pomorzu, a ponieważ zastępowanie ich nie tak liczny więc rozwój postępuje wolniej. Stosunki w różnych powiatach Pomorza pod względem pracy społecznej kobiet różnią się także, ponieważ nie wszystkie powiaty posiadają ten sam procent ludności czysto polskiej, a w szeregu powiatów Koła Ziemianek zaledwie powstały, z powodu braku odpowiednich kierowniczek.

Może dlatego, na tle ogólnego dorobku wszystkich Ziemianek polskich, rezultaty, osiągnięte na Pomorzu, wydają się nikłe, ale uwzględniając warunki tak bardzo ujemne, nie tyle na widoczną pracę, ile na wytworzoną moralną jedność u Ziemianek, główny nacisk kłaść trzeba. Wielką nadzieję pokładamy w tych wszystkich wpływowych elementach, które osiedliwszy się na Pomorzu, a pochodząc z rdzennie polskich okolic, mogą się w znacznej mierze przyczynić do „odpolszczenia“ naszej dzielnicy, gdyby chciały one, w zamiar za uzyskany na Pomorzu byt materialny, owdzięczyć się mu sporą dawką kultury rodzimej.

Proces „odpolszczenia“ nastąpiłby daleko prędzej, a nie tylko rozwój samego Towarzystwa Ziemianek by na tem w znacznej mie-

rze skorzystał, ale przede wszystkim bezpieczeństwo zagrożonych zachodnich granic Rzeczypospolitej. M.J.P.

BRZEŚĆ n./B. 10 kwietnia. W jesieni roku ubiegłego powstało w Brześciu n.B. Towarzystwo Muzyczne liczące obecnie około stu członków.

Odczuwaliśmy oddawna brak poważniej traktowanej muzyki, gdyż musieliśmy ograniczać się koncertami przyjezdnych osób, lub miejscowych wirtuozów.

Koncerty te niestety nie zawsze stały na wysokości zadania, przytem programy, układane dorywczo i przygodnie nie dawały pewnego skończonego w sobie całości kształtu.

To też spragniona tej duchowej strawy publiczność brzeska powitała przychylnie i z wdzięcznością powstanie Tow. Muzycznego, które od razu przejawiało ruchliwą działalność pod kierunkiem swego prezesa — pani inżynierowej Wandy Próchnickiej zakupując koncertowy fortepian Bechsteina i organizując przystępne dla szerszych sfer poranki muzyczne.

Towarzystwo uzyskało koncesję od Dep. Kultury i sztuki na otwarcie Szkoły Muzycznej im. Chopina, która pod energicznym zarządzeniem swojej dyrektorki pani Elzy Wołkowej, rozpoczęła niedawno swą działalność.

SZTUM (Prusy Wschodnie) 9-ego kwietnia. Sztumskie Koło Ziemianek zorganizowane w r. 1910 z inicjatywy p. Marji Donimirskiej gromadziło przez 8 lat jedynie uświadomione jednostki kobiece (9 osób). Zaraz po rewolucji w listopadzie 1918 założyło 4 koła ludowe, w 4 głównych miejscowościach powiatu zwane w tych stronach Tow. 6-tej Kingi i prowadzi te koła dotychczas jako jedyne polskie zrzeszenie kobiece, wprawdzie za granicami Polski, jednak niewątpliwie na polskim terenie etnograficznym, na rubieżach dawnej Polski. W ostatnim roku powstało 5-te koło, jako dowód żywotności naszej organizacji.

Sztumskie Koło ziemianek, jedno z 17 kół pomorskich i jedyne w państwie niemieckim, uważa za główne swoje zadanie utrzymanie tych rzesz kobiecych w poczuciu narodem polskim i daje im możliwość usłyszenia raz na miesiąc we wszystkich 5 stowarzyszeniach odczytu w języku i w duchu polskim. Ta suma około 50 odczytów rocznie jest główną działalnością towarzystwa, nie mówiąc o wspomaganiu 7 ochron, jedynych placówek w tym kraju, pozbawio-

nym szkoły polskiej, mimo tysięcy dzieci i rodziców, którzy jej żądają — o organizowaniu zabaw i przedstawień ludowych, obchodów rocznic etc. 8.

Korespondencje Zagraniczne

LOZANNA 9 kwietnia. W Lozannie odbędzie się w dniach 15—17 kwietnia Kongres sfer wychowawczych i osób, interesujących się wychowaniem, w celu obmyślenia programu przymusowej szkoły dopełniającej dla kobiet, po ukończeniu szkoły ludowej, a więc od 14-go do 16-go roku życia. Kongres zainicjowany został przez Kanton berneński, który się zwrócił do sesji wychowawczej Związku kobiet szwajcarskich (Alliance des femmes suisses), któremu przewodniczy p. Pieczyńska (dr. med. żona Polaka), ażeby kobiety zrzeszone w niej pomogły do stworzenia idealnego programu dla kobiet nowoczesnych. Władze berneńskie są bowiem zaniepokojone zjawiskiem niezadowolenia wśród kobiet pracujących w jakimkolwiek zawodzie, a zwłaszcza służby domowej, w którym dają się zastępować dziewczętom zagranicznym, a same zapisują się na listy bezrobotnych. (Stąd utrudnienia w otrzymaniu wizy dla kobiet na wyjazd do Szwajcarii). W celu przygotowania tego programu zwołała znana działaczka, p. Pieczyńska 3 zebrania kobiece w lutym r. b. w Lozanie, w których niżej podpisana miała sposobność brać udział. W przemówieniach swych dowodziła p. P. bardzo wymownie, że dzisiejsza szkoła wogóle nie bierze pod uwagę natury kobiecej: geniuszu spec. kobiecego — męciżystwa, nietylko w fizycznej formie ale ogólnej: „ame maternelle, faire use de foyer“, czyli istoty promieniującej, która może znaleźć zadowolenie jedynie tylko w zrzeszaniu dookoła siebie grona istot, potrzebujących opieki.

Przykład nowych metod, wychowania daje szkoła gospodarcza w Marcelin nad Morges, która jako jeden z zakresów nauki dziewcząt wiejskich (kurs. 5 mies.) zaprowadziła żłobek dla noworodków. Szwajcarki, chociaż nie mają prawa wyborczego, są przekonane, że obowiązkiem ich jest wpływać na opinię i rząd w celu reformowania szkoły, i rząd też, jak widzimy, zwraca się do nich w sprawach, dotyczących specjalnie kobiet.

Jak stwierdza dr. Pieczyńska wykształcenie zawodowe nie daje kobiecie zadowolenia, ani nie daje

go nawet wykonywanie tego zawodu. W przemowie swej przytaczała najnowsze dzieła kobiece jak np. Giny Lombroso „La femme aux prises avec la vie,” tak często cytowane w „Bluszczu”.

Ostateczne wnioski, jej były:

Na nic się nie przyda kształcenie 10 palców bez rozszerzenia serca i umysłu, w kierunku specyficznie kobiecym.

Nie można kształcić kobiet odrębnie przeznaczając jedne na matki, inne na pracownice zawodowe, (szkoła naręczonych w Anglii) ponieważ natura wszystkich kobiet jest jednaka.

Należy 50% kobiet kształcić na wychowawczynie w niższym lub wyższym zakresie tego zawodu i wyrugować zupełnie mężczyznę z wychowania, jako nieodpowiadającego jego naturze.

Każdej kobiecie trzeba dać możność albo kulturę odpowiednią do stworzenia szczęśliwego ośrodka w okolo siebie, (ogniska, foyer) naturalnego w rodzinie, czy sztucznego, poza nią.

Tu przytaczała ciekawy eksperyment fabrykanta czekolady w Bernie, który nie mogąc utrzymać robotnic swoich z powodu ciągłego niezadowolenia, wpadł na pomysł pobudowania domów robotniczych, zawierających mieszkanka dwupokojowe (t. j. pokój i kuchnia) dla dwóch robotnic, które wówczas lokują się parami według sympatii czy interesu, i stwarzają odrazu rodzinę małego ogniska rodzinnego: mają już cel w ozdabianiu mieszkania w dbaniu o swoje gospodarstwo i mieszkanie i dzielą się pracą domową.

Wyniki Zjazdu pedagogicznego w Łozannie podamy w następującej korespondencji.

H. Sierakowska.

Kursy, odczyty, wykłady

— Dn. 1 kwietnia na wieczorze autorskim w Klubie Artystycznym w Warszawie p. Marja Dąbrowska odczytała niedrukowaną dotąd nowelę p. t. „Zegar z kukułką” oraz piękną impresję o wiosnie, drukowaną w świątecznym numerze „Bluszczu.”

— Dn. 1 kwietnia dr. Fleszarowa wygłosiła na posiedzeniu Tow. Krajoznawczego odczyt p. t. „Podstawy potęgi i niezależności Polski.”

— Dn. 28 marca na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Medycyny społecznej w Warszawie p. dr. Maszewska Knappe wygłosiła odczyt p. t. „Zagadnienie psychiki u zwierząt.”

— W Uniwersytecie ludowym w Dalkach (Wielkopolska) rozpoczyna się z dniem 1 maja kurs letni dla dziewcząt o lat 18 stu. Adres: Dalki pod Gniezmem.

— Jak donosi „Głos do kobiet wiejskich” dnia 3 II odbyły się w osadzie fabr. Leszno pod Błoniem Kursy dla gospodyń wiejskich. Na zajęcia praktyczne uczęszczało 15 kursistek; na wykłady schodziło się znacznie więcej osób. P. Zrobkówna mówiła o higienie, ratownictwie, racjonalnym odżywianiu; p. Chmielińska „O zadaniach Wydziału kół gospodyń wiejskich” „O potrzebach człowieka przedhistorycznego i obecnie żyjącego” „O znaczeniu oświaty” i t. d.

Drugi kurs odbył się w Błoniu. Na zajęcia praktyczne uczęszczały 34 kursistki z 7-miu wsi okolicznych. Wykłady miewały p. Zrobkówna i p. Chmielińska. Nadto p. Restorffowa mówiła „O rodzinie”, a p. Zdanowska o zadaniach Wydziału.

Dn. 15 lutego rozpoczęto Kursy we wsi Stare Kozłowice w prywatnym mieszkaniu gospodarzy mało rolnych, państwa Czupryńskich. W zajęciach praktycznych brały udział 24 kursistki. Oprócz poprzednich prelegentek, p. Seroczyńska mówiła o hodowli drobiu i racjonalnym dojeniu, a instruktor Laszkowski o ogrodach.

Po wykładach zdecydowano założyć Koło Gospodyń.

Dn. 22 lutego rozpoczęto Kursy we wsi Adamowice w domu gospodyni małorolnej p. Kiełczewskiej. Zapisano się 16 kursistek. Wykłady prowadziło to samo gremjum. W trzecim dniu postanowiono założyć Koło gospodyń. Do zarządu weszły p. J. Rosońska, pani Strzelecka — gospodyni, pani Bujówna — nauczycielka, jako sekretarka i gospodyni p. Omieńska — jako skarbniczka.

Nauka i sztuka.

— Pracownia psychologiczna w Wilnie. W dniu 3 kwietnia odbyła się z udziałem, Inspektora szkolnego p. Woynowskiego, naczelnego lekarza m. Wilna D-ra Minkiewicza, D-ra Brokowskiego i innych, konferencja poświęcona omówieniu sprawy otwarcia pracowni psychologicznej, dla badań dzieci szkół powszechnych m. Wilna. Inicja-

torką wyżej wspomnianej pracowni jest p. Dr. Jankowska, która jednocześnie na tej konferencji wygłosiła referat o programie i metodach badań psychologicznych nad dziećmi. Jednym z wielu zadań pracowni będzie określanie ewentualnych zбочeń sfery moralnej. W ten sposób można będzie odseparować element, umysłowo upośledzony i moralnie zaniedbany, w celu skierowania go do szkół specjalnych. Drugim, już dalszym zadaniem pracowni, będzie badanie dzieci starszych, w celu wynalezienia kierunku ich uzdolnień zawodowych. Pracownia ta będzie otwartą zaraz po świętach i będzie się znajdować pod kierownictwem p. Dr. Jankowskiej, która pracę swą zaofiarowała bezinteresownie.

Na pracownię przeznaczono lokal w murach pofranciszkańskich, gdzie Magistrat wyznażył już na ten cel pewne, związane z tem urządzenia.

Prócz tego do pomocy kierownicze pracowni została dodana z ramienia Inspektoratu jedna siła nauczycielska ze szkoły specjalnej.

— P. Irena Curie, córka sławnej uczonej broniła w początku kwietnia w Sorbonie paryskiej rozprawę na temat „Badania nad promieniami alfa Polonium”.

Sala wypełniona była po brzegi przez profesorów, studentów, studentki i tłumnie przybyłą publiczność. Po przedstawieniu przez kandydatkę rezultatów jej prac, egzaminatorowie złożyli jej gorące powinszowanie, sławiąc pamięć Piotra Curie i wyrażając hołd p. Curie-Skłodowskiej, która tak godnie kontynuuje jego dzieło. Orzeczenie jury, przyznające kandydatce tytuł doktora nauk ścisłych powitały burzliwe oklaski zgromadzonych.

Wiadomości Zagraniczne

FRANCJA. *Odkrycia archeologiczne.* Dwie uczone francuskie, panie: Marthe Ouliee i H. de Saussure, dokonały interesujących odkryć archeologicznych podczas badania wykopalisk w Mallia na Krecie. Odkopano tam ruiny miasta z epoki 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa. Panie Ouliee i de Saussure kierują same robotami około odkopywania tych ruin.

TURCJA. *Kandydatki na posłów.* Kandydatkami do parlamentu na dwa wakuujące miejsca poselskie są: znana powieściopisarka turecka Haldeh Enib Hanum i działaczka społeczna Naziweh Mukledin.

MEKSYK. *Kobieta sekretarzem prezydenta.* Jak donosi pismo amerykańskie „Equal Rights”, Prezydent amerykański mianował swym sekretarzem kobietę, pannę Cholita Gonzalez. Jest to stanowisko bardzo odpowiedzialne, do obowiązków bowiem sekretarza prezydenta meksykańskiego należy między innymi wydawanie rozkazów do armji oraz reprezentowanie państwa w wielu wypadkach wielkiej wagi.

P. Gonzalez jest znaną działaczką społeczną, brała bardzo żywy udział w ruchu kobiecym swego kraju, nominacja jej więc na to wysokie stanowisko spotkała się z ogólnym uznaniem.

WŁOCHY *Koncert polskiej pianistki.* Dn. 15 b. m. w przepelnionej sali Konserwatorium rzymskiego odbył się koncert polskiej pianistki, Marji Świącickiej.

Artystka wykonała utwory wyłącznie polskich kompozytorów: Chopina, Paderewskiego, Melcera i Brzezińskiego.

Przegląd prasy

— „Nowa Reforma“ № 81 zamieszcza Jadwigi Migowej „Kryzys małżeński i jego przyczyny“. Wadliwe wychowanie młodzieży obu płci uważa autorka za najgłówniejszą przyczynę omawianego kryzysu.

W tym samym numerze ta sama autorka omawia „Psychologiczne podstawy mody współczesnej“.

— „Słowo“ wileńskie z dn. 9 IV pisze:

„Według wiadomości kronikarskich, w Wilnie jest 260 prostytutek zawodowych i 39 wywiadowców policji obyczajowej na tem nie kończy się jeszcze zespół urzędniczy, zmobilizowany przez Republikę dla nadzoru nad prostytutką, — więc śmiało powiedziec można, że w Wilnie jeden państwowy urzędnik, poświęcony prostytutce przypada na 6 prostytutek“.

W dalszym ciągu zamieszcza „Słowo“ bardzo zjadliwe uwagi, pod adresem „młodej państwowości polskiej“.

Uwag tych nie powtarzamy; wynika z nich bowiem jasno, że autor wzmianki z faktycznym stanem sprawy i z zarządzeniami państwowymi w tym względzie nie jest dostatecznie obznajmiony.

— Tom XII-gi „Biblioteki dzieł wyborowych“ zawiera Allain'a Gerbault „Sam — przez Atlantyki“ w tłum. Stefanji Podhorskiej Okołów.

— „Robotnik“ № 105 zamieszcza dr. J. Zielińskiej następujące uwagi w sprawie reorganizacji metod pracy, stosowanej obecnie we wszystkich większych centrach fabrycznych. Uwagi odnoszą się głównie do pracy kobiet:

„W fabrykach łódzkich, przy reorganizacji pracy, kobiety mdleją ze znużenia, zapadają na zdrowiu muszą opuszczać warsztat“.

„W garbarniach, gdzie wprowadzono szereg nowych maszyn, zastąpiono wykwalifikowanych robotników — mężczyzn przez robotnice, które w pozycji stojącej wykonywają pracę ciężką i żmudną, acz prostą i łatwą“.

„A jednak znane już są ogólnie hygieniczne i racjonalne prawa pracy kobiecej, głoszone przez Amara, dyrektora laboratorium fizjologii pracy w Paryżu, przy Narodowym Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł“ A więc przedewszystkiem:

Unikać wszelkiej pracy skomplikowanej, lub dzielić ją na zatrudnienia łatwiejsze i nigdy nie żądać ciągłego wysiłku, przekraczającego 15 kilogramów na dwie ręce, gdy tymczasem mężczyzna może podnieść 25 kilogramom. Prawo to oparte jest na doświadczeniu dokonaniem kilkakrotnie na kobietach, pracujących przy pilniku“.

„Praca bez przerwy, nigdy trwać nie powinna nad półtorej godziny, po której następuje przerwa 15-to minutowa Karmienie własną pierśią, brzmienność muszą być zawsze brane pod uwagę“.

„Wszelka praca nocna musi być zniesiona dla kobiet“.

„Praca wymagająca wielkiej siły mięśniowej (tragarzy i kopaczy, cieśli, kowali) nigdy nie może być dozwolona kobietom“.

„Praca, wymagająca wielkiego, ciągłego, długiego wysiłku umysłowego, musi być także wzbroniona w handlu i biurowości. Nie można im powierzać w przemyśle pracy, wymagającej ciągłego natężenia uwagi, wytrwałości, pamięci, pomysowości, oryginalności. Ale ich uczciwość, umysł subtelny, wrażliwość zręczność i zgrabność bardzo, przydają się przy pracy lekkiej, delikatnej, jak modniarstwo, krawieczyna, bielizniarstwo, koronkarstwo, stenografia, pisanie na maszynie, introligatorstwo i t. p.“

— „Warszawianka“ Nr. 91 drukuje Ireny Panenkowej artykuł p. t. „Wilno i Kowno“. Autorka zdaje sprawę z artykułu, który pojawił się w jednym z ostatnich numerów Temps'a i w którym wykazane są wszystkie walory Wilna jako starożytnego miasta polskiego.

— „Kurjer Polski“ Nr. 91 drukuje J. Kodisowej „Ignacy Daszyński w świetle swoich pamiątek“.

— W dodatku literackim „Gazety Administracji i Policji Państwowej“ Nr. 73 spotykamy K. Iłakowiczówny „Modlitwę Wiosenną“.

— „Gazeta Gdańska“ Nr. 74 zamieszcza M. Wicherkiwiczowej „Pielgrzymka do Rzymu“. Artykuł informuje pielgrzymów, co należy zwiedzać w Wiecznym Mieście.

— „Gazeta Gdańska“ Nr. 75 zamieszcza E. Gumowskiej artykuł folklorystyczny, p. t. „Pisanki“.

— „Promień“ — kwartalnik słuchaczy uniwersytetów ludowych, drukuje F. M. Wójtowskiej „Obowiązki i prawa obywatela polskiego“.

— „Kobieta sportowa, czy sport kobiecy?“ Na łamach „Stadjonu“ toczy się dyskusja na temat sportu kobiet.

Spór toczy się o to czy „Federacja sportowa“ pań jest potrzebna, czy też należy pozostawić dotychczasowy stan rzeczy w Polsce, a więc — kobiety mają być nadal uczestniczkami klubów mieszanych.

— „Stadjon“ w Nr. 14 zamieszcza artykuł K. Muszałłówny, p. t. „Rzut oka na rozwój sportu kobiecego w Czechach“.

— „Głos do kobiet wiejskich“ dodatek do „Gazety Gospodarczej“ Nr. 7 drukuje: P. Restorffowej „Siódme Przykazanie“. K. Skrzyńskiej „Wielkanoc“. M. Karczewskiej „Jaja do wylęgu“ Z Kaczyńskiej „Co to jest rasowa kura“, Anieli Zdanowskiej „O kołach gospodyń wiejskich“ i Anieli Chmielińskiej „O kursach dla gospodyń wiejskich w pow. Błońskim“.

— „Skamander“ Nr. 39 drukuje I. K. Iłakowiczówny „Psalm nowoczesny“.

Różne

— Dn. 1 kwietnia r. b. przyjęto uroczyste do palestry warszawskiej pierwszą adwokatkę polską p. Helenę Wiewiórską. Dziekan Zygmunt Sokołowski w przemówieniu swoim zaznaczył:

„Pani godnie torować będzie drogę przyszlęzł zastępom kobiet, które poświęcić się zechcą pracy w naszym zawodzie“.